Nr. 9. Lwów, 1. Lutego 1886. Rok I.

STRAŻNICA POLSKA

PISMO

POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNE

wychodzi

dwa razy na miesiąc, każdego 1. i 15.

Pojedynczych Nrów nie sprzedaje się.

PRENUMERATA
na „Strażnicę polską“ wynosi:
Kwartalnie:
We Lwowie: bez przesyłki 1 zł. 50 ct.
„ z przesyłką 1 „ 60 „
Na prowincyi: . . . . 1 „ 70 „
Za granicą: . . . . 2 „ — „

REDAKCYA w Rynku L. 8.
ADMINISTRACYA Rynek L. 9.
Inseraty od wiersza (petit) 5 ct.
Wszelkie należytości przysyłać należy pod adresem
Do Administracyi „Strażnicy polskiej“
na ręce p. **Szczęsnego Bednarskiego,**
Lwów, Rynek l. 9.

„I to minie“.

Wyrazy powyższe były w swoim czasie hasłem wszystkich polskich szermierzy, wszystkich więźniów stanu. Kiedy ludzie ci najdotkliwiej czuli ramię przemocy, kiedy wśród więzień, w kazamatach petersburgskich, w Mohabicie lub w kopalniach Sybiru, zdawało się, że już żaden promyk nadziei nie świeci dla nich, czuli zarazem, że jednak idea, dla której cierpią, walczą lub giną, zwyciężyć musi i cierpienie głębokie nie dyktowało im wyrazów zwątpienia, ale te pełne wzgardy dla chwili doczesnej słowa: „I to minie“!

Dziś niemal cały naród, z wyjątkiem części jednej, pod konstytucyjnemi rządami Austryi, cały naród czuje brzemię ucisku, tem głębiej i dotkliwiej, że zapytywać musi: Za co?

Za co owa zapowiedź wielkiego męża stanu Niemiec, że Niemcy wywłaszczyć muszą Polaków z ich własnej ziemi, że już nie tylko pod względem politycznym i publicznym odmawia się im praw, ale i pod względem społecznym ma być wykonywana kontrola nad życiem rodzinnem. Bo między innemi kanclerz państwa niemieckiego mówi, że Polacy wtedy tylko będą traktowani jako obywatele państwa, gdy zawierać zechcą małżeństwa z Niemkami, że wówczas będą mieli utorowaną drogę do urzędów, godności i stanowisk publicznych.

Gdyby groźby i środki tak surowe skierowane były przeciw państwu nieprzyjaznemu, zrozumielibyśmy je gdyby były zapowiadane w chwili jakiegoś ruchu groźnego, rokoszu iub w przededniu powstania, byłoby to również zrozumiałe. Ale wtenczas, byłaby może broń równa i moglibyśmy nazwać wnioski Niemców w sejmie pruskim i mowę kanclerza, moglibyśmy nazwać wystąpieniem rycerskiem. Bo wtedy groźbę chcieliby odeprzeć groźbą, zamach siłą.

Lecz dziś, dziś zaprawdę nie możemy nic innego powiedzieć, jak powtórzyć prawdę historyczną. „Państwa giną, mogą zginąć, uledz przeobrażeniu, narody żyją wiecznie“.

Nie mniej ważną jest i druga prawda z dziejów zaczerpnięta, stanowiąca jeden z elementarnych paragrafów nauki historyi. Brzmi ona:

„Organizmy społeczne, plemiona i narody, nie inaczej mogą dojść do bytu państwowego, tylko przy pomocy siły“.

Czyliżby o tych prawdach mogli zapomnieć Niemcy, naród filozofów, a zwłaszcza ich politycy? A jeżeli nie zapomnieli, to po cóż to kilkakrotne powtarzanie, że Niemcy nigdy nie pozwolą na odbudowanie Polski.

Twierdzenia takie, nie mają oprócz dźwięcznego dla Niemców frazesu, innego znaczenia. Któż bowiem przewidział przyszłość, a zwłaszcza nadspodziewane wypadki i zawikłania? Najgenialniejszy mąż stanu poszczycić się tem nie może. Wypadki rok naprzód przewidzieć, to rzecz polityków, ale wiedzą o tem, że przewidywania snują tylko na podstawie danych, już istniejących. Wypadki jednak, które przyjść mają lub mogą, uchylają się z pod kombinacyj politycznych. W proroków zaś, a zwłaszcza takich, którzy się wyrzekają uczuć, stanowczo nie wierzymy.

Siłą uczucia, potęgą geniuszu, można przewidzieć dalsze losy narodu, ale tylko na podstawie wiary, w dodatnim kierunku ich rozwoju i na podstawie głębokiej znajomości duszy własnego narodu

W chwilach na pozór bez wyjścia, poeci nasi umieli dodawać otuchy narodowi, i dodawali jej nie samem proroctwem. Odmalowanie trafne i głębokie wielkich cierpień, jest potężniejszem lekarstwem na gromy i burze, pod którem upadają serca, niż myśl o czynie, który byłby nie na czasie. Jednym z takich źródeł kojących serca, niecących nadzieję, jest wiersz Adama Mickiewicza, stanowiący przedmowę do Pana Tadeusza.

Wysyłamy ustęp z niego naprzód przed siawną mową księcia Bismarka:

Jedyne szczęście: kto w szarej godzinie,
Z kilką przyjaciół siadłszy przy kominie,
Drzwi od Europy zamykał hałasów,
Wyrwał się myślą do szczęśliwszych czasów,
I dumał, marzył o swojej krainie..

Ale o krwi tej, co się świeżo lała,
O łzach, któremi płynie Polska cała,
O sławie, która jeszcze nie przebrzmiała:
O nich pomyślić nie mieliśmy duszy!..
Bo naród bywa na takiej katuszy,
Że, kiedy zwróci wzrok ku jego męce,
Nawet odwaga załamuje ręce..

* *

Te pokolenia żałobami czarne —
Powietrze tylą klątwami ciężarne —
Tam — myśl nie śmiała swoich zwrócić lotów
W sferę okropną nawet ptakom grzmotów!..

* * *

O Matko Polsko! Ty tak świeżo w grobie
Złożona... Nie masz sił mówić o tobie!...

* * *

Ach, czyjeż usta śmią pochlebiać sobie,
Że znajdą dzisiaj to czarowne słowo,
Które rozczuli rozpacz marmurową,
Które z serc wieko podejmie kamienne,

Kiedyś.. gdy zemsty lwie przehuczą ryki,
Przebrzmi głos trąby, przełamią się szyki,
Gdy orły nasze lotem błyskawicy
Spadną u dawnej Chrobrego granicy,
Ciał się najedzą, krwią całe opłyną,
I skrzydła wreszcie na spoczynek zwiną;
Gdy wróg ostatni wyda krzyk boleści,
Umilknie, światu swobodę obwieści:
Wtenczas.. dębowym liściem uwieńczeni,
Rzuciwszy miecze, siędą rozbrojeni
Rycerze nasi, słuchać o przeszłości;
Wtenczas zapłaczą nad ojców losami,
I wtenczas łza ta ich lica nie splami..

Mowa ks. Bismarcka w sprawie polskiej.

Wiedeń, 29. stycznia. Według obszernego telegramu *N. fr. Presse* oświadczył ks. Bismarck, że ustęp mowy tronowej o Polakach, zawiera przekonanie rządu pruskiego, iż w zasadach, jakich przestrzegano, począwszy od r. 1840 co do wschodnich prowincyj, ma zajść zmiana. Prusy nie są odpowiedzialne za stan, w jakim objęły polskie prowincye w r. 1815 po kongresie wiedeńskim, Hardenberg mniemał, że można w tych prowincyach rządzić łagodnie. Proklamacya Fryderyka Wilhelma wypowiedziała tylko zasady, według których prowincye te miały być rządzone, ale król ten nie przyjął zobowiązania na wieczne czasy. Owe zasady musiały z czasem zupełnie upaść w skutek zachowania się tamtejszej ludności. (Zaprzeczenie z centrum).

Ks. Bismarck odczytał memoryał głównodowodzącego w Poznaniu generała Grollmana z roku 1832, który po doświadczeniach poczynionych w czasie powstania polskiego z r. 1830—31 doradzał usilnie zastosowanie systemu germanizacyjnego. Ówczesny energiczny system został jednak uchylony od r. 1840, przez króla Wilhelma IV, który sprzyjał Polakom i którego w czasie podróży po Poznańskiem chciała szlachta polska przekonać, iż Polacy niewinnie są prześladowani. To pełne zaufania przeświadczenie królewskie zostało wzmocnio-

Pamiętnik więźnia stanu

ś. p.

Ks. Wincentego Bukowskiego,

PLEBANA.

9)

(Ciąg dalszy).

Jasionów.

Miejsce to należy do najgorszych wikaryatów, a dostało się mnie, bo nadane nie według nauki i zdolności, ale według faworu ks. rektora rekomendacyi. Potrzeba było protekcyi na lepsze miejsce, ja jej nie miałem. Nic to nie było dziwnego że ten, który się zaledwie przepchał przez teologię, dostawał najlepszy wikaryat, a najpilniejszy i najzdolniejszy najgorszą. Wyrok taki należało przyjmować bez szemrania, bo inaczej bieda.

Jeszcze ś. p. ks. Korczyński według swoich notatek i znajomości stosowne dawał miejsce, ale tego roku 1842 Fuchs i ks. Ziemiański tem kierowali. Od pierwszego miejsca na wikaryi zależała często cała przyszłość i promocya; dlatego też trzeba było znosić ciężkie jarzmo roboczego woła, szczególniej tam, gdzie pleban był bogatym i próżniakiem.

Przyjechałem do Jasionowa, przyjemnej wsi wśród łąk i niw urodzajnych, pośród gęstych miasteczek, położonych na ziemi polskiej, w której lud zamieszkał pobożny, pracowity i obyczajny. O pijaństwie, kradzieży, rozpuście, prawie słychać nie było.

Kościół drewniany, podupadły, ale go zrestaurowano i ozdobiono. Odpustów było dwa do roku: na św. Katarzynę i na św. Wincentego Fer. Lud schludny, śpiewał pięknie i uczęszczał do kościoła. Pleban dopiero instytuowany, ks. Feliks Piękosz, miły, łagodny, przystojny i młody brunecik, bardzo czynny, pracowity i wzorowo obyczajny. Oby takich kapłanów u nas pełno było. Przy takim plebanie, wikaryusz może się wykształcić i nabrać chęci do pracy duchownej. Właśnie przy mnie odbył się obrzęd instalacyi. Księży, sąsiadów, było wiele, oraz szlachty. Kosztowało to niemało i pleban musiał się zadłużyć, a probostwo było skromne. Na tej instalacyi ukradziono mi parę nowych butów, a to była dla mnie wielka strata. Wsi do parafii należało pięć: Jasionów dusz 600, Wzdów 700, Zmienica 500, Turzepole 350, Buków 240. Lud miał się dosyć dobrze, chociaż ciężką odrabiał pańszczyznę. Dworów także było pięć, a w nich siedziała szlachta.

W Jasionowie był dziedzicem ś. p. Wincenty Tarnawiecki, stary wiarus liczący lat 90. Był w młodym wieku paziem u cesarzowej Maryi Teresy, ztąd też szambelanem zwany. Nie nosił nigdy fraka, tylko strój narodowy, a po domu szaraczkową kapotę i żupan zapinany na blachę. Lubiał wiele rozprawiać o dawnych dziejach i pamiętał mnóstwo dawnych wypadków. Jeszcze rzeźki i czerstwy, mimo swej starości chętnie wypił jedną lub dwie lampki wina węgierskiego starego. Wieś wydzierżawiał wnuczce, której mąż prowadził gospodarstwo. Miał on i drugą wieś Tomaszów, ale tę wykpił od niego wnuk, adwokat Dwernicki, na którego często się użalał i płakał, bo mu przestał przysyłać raty. Starzec ten pomimo, że wychowany na dworze austryackim, był prawdziwym patryarchą polskim w sanockiej ziemi; a żył tylko tą jedyną nadzieją, że Polska nie zginęła, że się doczeka jej odrodzenia. Czytywał chętnie gazety, lub kazał sobie czytywać, marząc o Ojczyźnie.

Rewolucya 1846 r. nie zastała go nieprzygotowanego; uwolnił lud od pańszczyzny i kazał mu iść pod Sanok, gdzie sam był w r. 1809. Wykonał wszystko, co rząd narodowy rozkazał.

Starosta Osterman kazał starca przywieść, ale nie można było, — starzec kazał się włożyć do trumny i tak zawieść, ale się Niemcy spostrzegli, nie kazali go przywozić, tylko mu straż wojskową w pokoju gdzie leżał postawili. Udręczyli tak starca, iż umarł wkrótce ze zgryzoty i rozpaczy, że już nie doczeka wolnej Ojczyzny.

Przepędzając na pogadance o narodowej świetności wieczory z tym patryarchą, były to jedne z najmilszych chwil, gdyż zaiste, wtenczas był to jeden z ostatnich tego rodzaju wiarusów. Przypa

ne ruchem rewolucyjnym w r. 1846. pomimo to jednak istniał ciągle stan prawny, który zapewniał Polakom swobodę i wolność. Niemieckie sympatye dla Polaków były zswsze wypływem niemieckiej dobroduszności w sprzyjaniu wszystkiemu, co pochodzi z zagranicy i inklinacyi do występowania przeciw rządowi, na którem to polu Polacy właśnie bywają zawsze sprzymierzeńcami wszystkich opozycyonistów. W tym to okresie, przyjaznych dla Polaków uczuć, po roku 1840, wygrywano polskie melodye i gotowano gorące przyjęcia polskim emigrantom. Sympatye takie utrzymały się od roku 1848 do 1862. Właśnie lat temu 23, jak na tem samem miejscu byłem obecny na rozprawach w sprawie polskiej. Objąłem wprawdzie wówczas rządy w celu działania przeciw stronnictwu postępowemu, dążenia moje jednak były skierowane ku temu, aby dokonać rozwoju narodowo-niemieckiego państwa.

Publikacye o mojej działalności w Frankfurcie dowiodły, iż miałem zamiar służenia Niemcom w duchu narodowym, i że w tej mierze nie dałem się zbić z tropu żadnemi przeszkodami. Nie przeczę, iż wielu dążyło do takiego samego celu, jednakże obok tego starało się zapewnić bądź dla swoich idei, bądź dla swoich stronnictw ważną rolę. Wszak powiedział jeden z tych, których wtajemniczyłem w moje plany i który już dla samego swojego stanowiska urzędowego powinien był mnie popierać: „Der Mensch macht meine Politik, und macht sie falsch". (Wesołość). Już dawniej opowiadał on, jakoby było moją ideą: „nie na drodze pokojowej, lecz krwią i żelazem stworzyć Niemcy". Musiałem występować przeciw powodzi szyderstw, urąganiu i nienawiści w Sejmie, oraz przeciw nieufności obcych. Występowano przeciw mnie z powodu konwencyi z dnia 8 lutego 1863 r., zawartej w czasie powstania, w której stanąłem w obronie polityki rossyjskiej i którą dlatego tylko zawarłem, iż będąc posłem w Petersburgu nabrałem przekonania, iż gabinet rossyjski był jednym, po którym mogłem się spodziewać, jeżeli nie poparcia, to przynajmniej tolerancyi dla mojej narodowej polityki. Musiałem przeto utrzymywać z Rosyą dobre stosunki.

Napaści, jakich celem byłem w sejmie, mowy Virchowa, który to poseł zapowiedział drugi Ołomuniec, wprawdzie Waldecka, iż jeżeli prawdą jest, że rząd pruski oddaje Rossyi żandarmskie usługi, a nie okrywa się rumieńcem wstydu, to nie warto być Niemcem. Wszystko to zachęciło gabinet francuski do akcyi dyplomatycznej przeciw Prusom i wpływało na opinię publiczną w Anglii, gdzie jedynie przyjaźna dla Niemców postawa Russela ochroniła nas przed wojną. W końcu i Anglia, ów nasz dawny sprzymierzeniec zwróciła się przeciw nam i nakłoniła Francyą, aby niedopuścić do wykonania naszej konwencyi.

Jest to myśl niegodna rządu poczuwającego się do siły. Ale zyskaliśmy przychylność Rossyi i gdy w 1867 groziła wojna z Francyą, było to w naszej mocy uderzyć wspólnie z Rossyą. Ale król i ja byliśmy zawsze za tem, ażeby nie inaczej, jak tylko własną siłą i bez czyjejkolwiek obcej pomocy stworzyć państwo niemieckie, tak samo, jak nasze rozprawy z Austryą, odbyły się tylko w cztery oczy. Natomiat zwalczała nas tutaj, podczas polskiego powstania, do ostateczności, lewica, a przewódzcy opozycyi — jak to wykazały tajne francuskie dokumeuta, które podczas wojny w r. 1870 wpadły w moje ręce — byli nawet w porozumieniu z francuskimi posłami. Wówczas oświadczyi Polacy, że odbudowanie Polski w granicach z r. 1772, jest ostatnim celem, jest ewangelią Polaków, a Windhorst pochwalił to d. 16. Stycznia 1886, powiedział bowiem, że jeżeli Polacy legalnymi środkami osiągną to, do czego dążą, to nie może im tego brać za złe. Od owego czasu stali się oni wprawdzie potulnymi, ale ażeby Polacy zrzekli się swoich aspiracyj, tego nie możemy się spodziewać. Otrzymują oni tutaj opiekę władz, do której mają prawo, ale skoro tylko tutaj, w Prusiech, poruszą kwestyę polską, zawołam z Gladstonem: *Hands off!* (Precz z rękami). Ani na włos nie ustąpimy im tutaj! Walka o byt między dwoma narodowościami skazanemi przebywać na jednej i tej samej glebie, nie ustała w ciągu późniejszych czasów. Czasy te nie były dla Polaków chwilą stosowną do pojednania.

Ruch polski czyni niewątpliwie postępy. Pytają, jak to było możliwem przy rzekomo wielkiem poparciu niemieckiego żywiołu przez rząd? Wszakże poparcie udzielone przez opozycyę Polakom, jest może jeszcze silniejsze. W dziesięć lat po r. 1863 wziął przewagę ruch polski w skutek poparcia go przez katolicki wydział ministerstwa (zaprzeczenia ze strony centrum i Polaków). Wydział ten miał czystą cechę polonizującego organu w obrębie administracyi pruskiej.

Dlatego uważałem za rzecz konieczną znieść ten wydział. Była to w ogóle droga, po której wszedłem na pole walki religijnej, walki, do której nie miałem ochoty. Zamiast strzedz praw króla, strzegł katolicki wydział ministerstwa wyznań praw katolickiego Kościoła i polonizmu, przeciw królowi. To drugle było możliwe przy wolności, jaką dawały ustawy państwowe. W parlamencie znajduje się większość, która nie może stworzyć nic pozytywnego, a która jest zgodną tylko w negowaniu podwalin państwa i jest skłonną do walki przeciw rządowi.

To też powiadamy, według starego niemieckiego przysłowia: „Wer nicht deichen will, muss weichen!". Wszyscy ci, którzy negują państwo i jego urządzenia, muszą być pozbawieni jego opieki. My jestesmy za słabi, ażeby pozbawić ich prawa i opieki; ale nie potrzebujemy bronić tych, którzy nie poczuwają się do żadnych obowiązków. A gdybyż choć te dwa miliony Polaków stały same! Ale opierając się o inne państw[illegible]nictwa stanowią Polacy większość, w której upatruję niebezpieczeństwo dla dalszègo naszego rozwoju; z drugiej zaś strony, my Niemcy mamy mało rozumu, my Niemcy mamy mało rozwinięte poczucie narodowościowe a przytem pociąg do wszystkiego co obce.

Język niemiecki wyparty został ze wszystkich krajów, w których dawniej zajmował miejsce. Z północnych krajów, w których niegdyś zajmował panujące stanowisko ustąpił, Alzatczycy sądzą się z prawdziwą dumą lokajską wyższymi od swych plemiennie pokrewnych Szwabów, ponieważ przodkowie ich walczyli pod Napoleonem I. Niemiec, który był w Paryżu, uważa się i dziś jeszcze za istotę wyższą, a w Czechach i Węgrzech zrzekają się Niemcy swych posiadłości. W Polsce najwięksi przeciwnicy niemieckości noszą niemieckie nazwiska. Polacy duchowni nie chcą według dochodzącego mię dziś doniesienia, przyjmować konfirmowanych, którzy zostają w służbie niemieckiej i odmawiają przyjęcia dopóty, dopóki są w tej służbie Niechże więc nas nikt nie obwinia, że znaglamy do kulturkampfu. Zarzucano nam w parlamencie, że wydalalaliśmy żydów; bylibyśmy się stali podejrzani pod względem wyznaniowym, gdybyśmy byli tylko Polaków katolickiego wyznania wydalali. Myśmy wydalili żydów tylko z powodu ich polskiej narodowości; z powodu religii nie prześladujemy nikogo, (niepokój na lewicy i w centrum). Takich oczywistych faktów nie zdyskredytujemy nawoływaniem szyderskiem przed publicznością. Ażeby rekapitulować wszystko, powiem, iż zostajemy pod wrażeniem, że nadzieje nasze, ażeby ludność polską, albo przynajmniej jej przywódców, polską szlachtę pozyskać dla Prus, były błędem, któremuśmy ulegali przez 45 lat i że odstąpić od tego jest obowiązkiem rządu państwowego. Staraniem naszem będzie, ażeby w okolice te sprowadzić ludzi pewnych.

Cel ten może być osiągnięty z jednej strony przez pomnożenie ludności niemieckiej, a z drugiej strony przez umniejszenie polskiej. Do tego ostatniego celu nie mamy żadnego innego prawnego środka, jak wydalenie tych, którzy nie są przyjaźni dla kraju. Mamy przekonanie, że dość mamy naszych własnych Polaków. Pomiędzy tymi obcemi żywiołami, znajduje się może wielu pożytecznych, niewinnych robotników, ale jest także wielu, którzy prowadzą polską agitacyę pod ochroną ustaw pruskich zręczniej, niżby to mogli czynić z rossyjskiej swojej ojczyzny.

W Austryi mogą oni to także czynić, ale właśnie dlatego przybywają z Rossyi żywioły agitacyjne. Z powodu tej agitacyi cierpi przecie także rząd rossyjski. Chcemy zatem wydalić obcych Polaków, ponieważ dość mamy swoich. **Pod tym względem jesteśmy z naszymi sąsiadami w zgodzie,** : trzymać się tego będziemy z bezwzględną energią, choćby miało nastąpić jeszcze i dwadzieścia rezolucyj parlamentarnych. Sprawczynią ruchu jest głównie szlachta polska. Posiada ona w Poznańskiem około 650.000 hektarów, z dochodem okrągłym z jednego hektara około 15 mark, a zatem około 3 miliony talarów czystego dochodu. Pytanie tedy, czy bezpieczeństwo państwa nie miałoby dla Prus wartości 100 milionów talarów, ażeby od polskiej szlachty wykupić te posiadłości. Jeżeli państwo wywłaszcza, ażeby budować koleje i twierdze, w Hamburgu burzy całe dzielnice, ażeby otrzymać wolną przystań, dlaczegożby więc nie miało państwo tyle poświęcić, ażeby niemieckość i pokój na wschodzie zabezpieczyć?

Panowie ci mogliby sobie potem nabywać ziemie w Galicyi albo pojechać sobie z gotówką swoją do Monaco. Mówię o tej możebności tylko dla tego, ażeby pomiędzy publicznością zastanawiano się nad nią i żeby pomyśleli o tem także Polacy, czy nie zechcieliby sami kiedyś postawić podobnego wniosku (wesołość). Zaproponujemy im środki, ażeby te dobra zakupić, które mogą być z wolnej ręki sprzedane, a na odpowiednich dobrach osadzić niemców pod warunkiem, żeby utrzymanie niemieckości zagwarantowali, a zatem Niemców z żonami Niemkami. Komisya nieustająca, bezpośrednio pod ministerstwem stanu, z wybranymi jednak reprezentantami obu Izb Sejmu, prowadziłaby kontrolę nad użyciem owych dóbr do celu wskazanego.

---

dłem mu bardzo do smaku; często po mnie przysyłał, a moja miłość ku Ojczyznie jeszcze się więcej wzmagała przez to. Panie świeć nad duszą jego!

We Wzdowie mieszkał drugi szlachcic, p. Teofil Ostaszewski, naówczas jeszcze kawaler, wysoki, brunet i miły bardzo w towarzystwie. A że krew u niego grała żywo w żyłach, to też i używał młodości. Panicz bogaty, przyjechał właśnie do swojej wsi z Paryża i był z wizytą u p. szambelana, przedkładając mu zbawienne skutki wody wówczas przez Prysnitza w Gräfenbergu używanej, gdzie i on bawił. A p. szambelan na to:

— Panie Teofilu, nie zaprzeczam, że woda jest bardzo zdrową rzeczą, ale jak jestem stary, nie mieniałbym się na twoje zdrowie; gdy zaś niedomagam, to wypiję ot jak widzisz z dobrym sąsiadem kieliszek „myszki" i już dobrze.

Pan Teofil prowadził dwór wystawny i gościło u niego zawsze wiele młodzieży, gdzie wiele dysputowano. Był uczynny, urządził szkołę we wsi, na co nawet szlachta okoliczna głowami kiwała. Książki szkolne, nauczyciela, — wszystko to płacił z własnej kieszeni. Przechowywał stale dwóch emigrantów, a nie było emisaryusza, któryby się o niego nie oparł. Co prawda, pan Teofil, hulał trochę, ale serce i kieszeń jego były zawsze otwarte dla poczciwych ludzi i dla dobrej sprawy.

Co czwartek przyjeżdżałem do szkółki, uczyłem religii i innych nauk i często bywałem u p. Teofila, który był kawalerem. Bywało tam czasami bardzo wesoło i nie zawsześmy się zgadzali w naszych przekonaniach. Ale to mu nic nie przeszkadzało, że obok zabawy i wybryków fantazyi młodzieńczej, nie spuszczał z oka obowiązków obywatelskich. Chociaż to były czasy „pańszczyzny", uważał chłopa nie tylko za stworzenie boskie i człowieka, ale się nim gorąco opiekował, usiłując go przerobić również na obywatela. Okoliczna szlachta sarkała nawet na to, że „chamów psuje". Ale on sobie z tego dworował, szczególniej, starał się o to, aby chłopi lepiej chodzili około roli i zajmowali się troskliwą hodowlą bydła. A gdy teraz to piszę, mogę sumiennie poświadczyć, że Bóg mu pobłogosławił w tej uczciwej pracy, bo dziś jeżeli w całej sanockiej ziemi widzieć można całe stada wiejskie (nie mówiąc już o dworskich) poprawnej rasy bydła, to zasługa to Teofila Ostaszewskiego a nie czyja inna.

Trzeci szlachcic w Zimienicy był p. Zaremba; a był on takim tyranem dla chłopów, żeby nikt nie uwierzył, gdybym zaczął spisywać szczegóły.

Pani Zarębina wysoko dmuchająca matrona, była właściwie panią domu. Duma i skąpstwo straszne, ale była wielką patryotką w ówczesnym duchu szlacheckim. Tu był dwór na wielką skalę. Pani Zarembina miała dwie córki, starsza jakby się odrodziła, była to dziwnie zacna i szlachetnego serca dziewica.

Czwarty szlachcic mieszkał w Turzempolu przy matce. Wieś ta prawniczym sposobem dostała się w ręce justicyaryusza p. Leszczyńskiego, a różnie bardzo o tem nabyciu mówiono. Wdowa po nim miała sześciu synów i córkę. Najstarszy z nich Wojciech osiadł na gospodarce. Siedział później za sprawy patryotyczne w więzieniu. Bracia jego jedni poginęli na wojnie, lub inny mieli tragiczny koniec.

U tego p. Wojciecha bywały zjazdy na wielką skalę, ale ja tam nie lubiałem bywać, unikałem nawet zaproszeń. Ile tam pękało beczek wina rocznie, to tego trudnoby policzyć.

Piąty nakoniec szlachcic, ale jakoś nie bardzo wiadomego i pewnego klejnotu szlacheckiego, był w Bukowie p. Sikorski. Wymowny, czelny w wysokim stopniu, nazywano go żydem. Posiadał on w swoim dworze różne dawne zabytki polskie: pierścienie, spinki, serwisy, wazy, gobeliny, makaty z dworu króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, drogocenne malowidła zapewne z tego samego źródła, któremi się lubił chlubić. Mówiono, że miał różne brylanty, powydzierane z korony polskiej, lub kólczyki, pochodzące ze skarbca królewskiego, które sprzedał królowej Wiktoryi, a za które wielkie sumy zahaczył. Zły świat mówił, że się ożenił z kochanką jakiegoś dygnitarza, a była to stara, brzydka, brudna i skąpa żydowica, wtenczas już chrześcijanka, którą miałem szczęście znać, a która mię denuncyowała przed starostą, o czem niżej. Starzy ci ludzie, bezdzietni, cały swój

Chcemy dalej Polakom, jako urzędnikom i żołnierzom dać sposobność wżycia się w niemieckich prowincyach, **a pod warunkiem nie żenienia się z Polkami**, chcemy im dać możność osiedlenia się w tych prowincyach. A więc planem naszym jest: **przez zakupno dóbr, przez szkołę i wojsko sprowadzić zwrot ku pokojowym stosunkom**, a środki na te cele — dopóki parlament prowadzi politykę abstrakcyjną — znajdziemy w pożyczkach; Prusy będą musiały pomódz sobie samym.

Gdy wzrokiem siegnę w przyszłość, widzę, że nie jest ona całkiem wolną od niebezpieczeństwa; nie grozi nam ono z zewnątrz, lecz w stosunkach wewnętrznych Na pomoc socyalnych demokratów, Polaków i Alzatczyków nie możemy liczyć, i nie jest bynajmniej rzeczą niemożliwą, że jeszcze raz narodowości niemieckiej będziemy musieli bronić przeciw koalicyi antiniemieckich mocarstw.

Zagranica spekuluje na nasze rozdwojenie. Po takim wewnętrznym rozwoju, tak jak go wskazuje parlament niemiecki, możliwem jest, iż rządy związkowe, będą zmuszone baczyć (głosem podniesionym) nequid respublica detrimenti capiat i poczyni kroki, **aby zabezpieczyć rozwój państwa przed większością parlamentu** (sensacya).

Nie należę jeszcze do adwokatów podobnej polityki, nim jednak przyzwoliłbym na to, aby rozwój sprawy ojczyzny uległ zastojowi, dałbym cesarzowi i książętom związkowym radę w powyższym duchu, a ten minister byłby tchórzem, któryby nie posiadał odwagi ratowania państwa nawet wbrew woli większości. (brawo! na prawicy) Na razie jestem panom wdzięcznym za uprzejmość, jakiej dowiedliście uczynieniem powyższego wniosku. (Przeciągłe sykanie na ławach lewicy — entuzyastyczne oklaski na prawicy, Lewica woła: „Oto chór landratów“!)

Echa sejmowe.

Sejm się zakończył i pozostawił po sobie więcej jak smutne wrażenie, bo nie pozostawił nawet najmniejszej iskierki nadziei, że dola kraju może się zmienić na lepsze. Było to łatwe do przewidzenia, bo jeżeli (czego nikt nie śmie zaprzeczyć i co się stało jawnem) delegacya nasza w Radzie państwa utraciła wszelkie pozycye i wpływy, jakiemi się szczyciła, to czegóż się można było spodziewać i po sesyi sejmowej?

Zmuszeni tu jesteśmy przytoczyć dwa niby bardzo podrzędne fakta, a jednak stanowią one tak wyraźnią charakterystykę ostatniej kadencyi sejmowej, że musimy je zaznaczyć. Hasłem ogólnem stała się w Izbie sejmowej „oszczędność“, z której czyniono jednak wyjątki, gdy chodziło o pewnego rodzaju wynagrodzenie zasług wobec osobistości, na które cały kraj oprócz pewnej kliki wręcz przeciwnie się zapatruje. Oto gdy odmówiono poparcia bursom, młodym pełnym nadziei artystom, którzy dążąc na Parnas sztuki polskiej, upadają wśród drogi ze znoju i głodu nawet, lub złożeni niemocą, pozostaje im jedyny przytułek — szpital, względem tych przestrzegano najsurowiej zasady oszczędności. Gdy jednak przyszła na stół petycya znanego i osławionego Ludwika Pierożyńskiego, byłego dyrektora buchalteryi w Wydziale krajowym, który w nieuczciwy sposób wyzyskiwał fundusze krajowe, wprowadzając **w błąd członków** Wydziału, i jako nadal niemożebny został oddalony, a przez szczególne względy i za jakieś jeszcze szczególniejsze zasługi otrzymał pensyę dożywotnią po 1600 zł. rocznie, — Izba sejmowa wskutek wniesionej petycyi odkładając na chwilę na bok wszelkie zasady oszczędności, uchwaliła mu jeszcze rocznie aż do śmierci **400** zł.

Jeszcze jeden obrazek. Mówiliśmy już poprzednio o zakładzie wychowawczym OO. Zmartwychwstańców przy ulicy Piekarskiej pod dyrekcyą ks. Kalinki, czyli fabryce Rusinów na modłę OO. Zmartwychwstańców. Komuż nie wiadomo we Lwowie, a może i dalej, że ten zakład jest tylko świetną rezydencyą pańską dla osobistej godności ks. Kalinki i jego pomocników, a instytut wychowawczy R u s i n ó w jest tylko przyczepką dla decorum, gdyż ruch w tym zakładzie przechodzi to wszystko, co n. p. daje się słyszeć o najpierwszych ambasadach europejskich w głównych stolicach kraju, lub ministeryach spraw wewnętrznych i zewnętrznych. Że ks. Kalinka nie ma się czasu zajmować wychowańcami wobec nawału pracy na polu wielkiej polityki i interesów rodowych stańczyków, to także nie jest tajemnicą. My nawet mamy powód do twierdzenia, że temu purytańskiemu rusinizmowi ks. Kalinki nie przeszkadza nic do pozostawania w bardzo ścisłem porozumieniu z Moskalofilami lwowskimi i ich publicystyką. Aby nas nie posądzono znowu o jakieś oszczerstwo, moglibyśmy przytoczyć szczegóły nadzwyczaj interesujące, a mianowicie jeden, który dziś tylko pobieżnie zaznaczamy.

Rzecz się tak miała: Ktoś wpadł na trop bardzo ważnych dokumentów piśmiennych, dotyczących działalności Otca Naumowicza, które w nagłej potrzebie pewien towarzysz pracy otca Naumowicza stanąwszy chwilowo z nim na stopie wojennej, chciał sprzedać za pieniądze. Suma żądana wynosiła kilkaset złr; że zaś sprawa była bardzo nagła i sprzedający żądał natychmiast pieniędzy, których nabywca nie miał do dyspozycyi, udał się do osoby trzeciej, która uczyniła nadzieję, że pieniądze w 24. godzinach na ten cel będą dostarczone. Zanim się to jednak stało, powiadomioną została o tej sprzedaży redakcya russkiego *Słowa*, czyli *Słowa* pana Płoszczańskawo.

O donosie tym zawiadomiony został wypadkowo nabywca dokumentów otca Naumowicza. Zdziwienie było wielkie tegoż, zkąd ta tajemnica dostała się tak szybko do redakcyi *Słowa* a nawet *Prołomu*, gdy w sprawę tę nie było wtajemniczonych tylko 3 osoby. Jedna z nich przyparta do muru i gdy od niej zażądano stanowczego wyjaśnienia, zeznała, iż w dobrej wierze udała się do OO. Zmartwychwstańców na ulicę Piekarską o pieniądze, wyjawiając cel; a żądała tylko pożyczki na krótki czas. Pożyczki tej nie otrzymała, ale OO. Zmartwychwstańcy nie omieszkali natychmiast donieść o niebezpieczeństwie do redakcyi *Słowa*, jakie grozi otcu Naumowiczowi i sprawie moskalofilskiej, gdyż pomiędzy 300 listami tego apostoła znajdowały się i dokumenta, których c. k. Prokuratorya państwa i c. k. Dyrekcya policyi we Lwowie napróżno podczas procesu Olgi Hrabar i towarzyszy szukały.

Na fakt ten zwracamy rozmyślnie uwagą Wys. Rządu, aby wiedział, komu daje protekcyę w najlepszej wierze, i kto takowej nadużywa na szkodę kraju i narodu.

Otóż tym to OO. Zmartwychwstańcom, u których brak monety jest po prostu rzeczą nieznaną, jeżeli ks. Kalinka w roku zeszłym zebrał dla swego **zakładu na Wołyniu, Ukrainie, w Koronie oraz w Galicyi przeszło** 80.000 **złr.**, co uwidocznionem jest w **jego książkach rachunkowych, udzielił Sejm 4.500 złr. subwencyi, a w całem gremium posłów znalazło się zaledwie pięciu podobno, którzy w myśl tej uchwały nie głosowali.**

Jeżeli zaś przyjmowani są do zakładu tego synowie najzaciętszych Moskalofilów, a nawet młodzież, której nie są obce zasady nihilistyczne, to byłby ten bardze naiwnym, ktoby chciał twierdzić i wierzyć, że ich OO. Jezuici przerobią i wychowają na Rusinów takich, jakich w ideale swoim na zewnątrz przedstawiają. Nie długo przyjdzie nam czekać, a zakład ten wyda bardzo gorzkie owoce dla kraju!

Przeglądając stenograficzne sprawozdanie sejmowe, mimowoli zwracamy uwagę naszą jeszcze na sprawę ks. Adama Kopycińskiego i przemówienia posłów ks. Adama Sapiehy, oraz hr. Łubieńskiego. Otóż wielka szkoda, że ci mówcy nie dali nam definicyi — „obywatela“ — w obec ich dziwnych pojęć o obywatelstwie w Galicyi, a które to pojęcie przeciwstawiono ludowi.

Co to jest ten lud? Czy to plebs, nie mający praw obywatelskich? Wszakże ks. Kopyciński miał podburzać chłopstwo, a u nas chłop jest przecież obywatelem, który wybiera posłów; ci zaś w sejmie stają na zupełnej równi z innymi posłami, bez różnicy, czy ich wybierał obywatel antiquae educationis w tabuli, a nawet czy jako wirylista zasiada w Izbie. Co więcej: O wybór przez chłopów dobijają się magnaci, dygnitarze, a jeżeli się nie mylimy, to i hr. Łubieński, zaliczający się do antypodów ludu, do obywateli według jego pojęcia, więc ten wyborca z ludu nie musi być pośledniejszy od tego, który zowie się obywatelem par excellence, dla tego, że stoi w tabuli jako dłużnik różnych kredytorów, którzy często absorbują całą tabularną podstawę galicyjskiego obywatelstwa.

Według właściwego, a na ustawach opartego pojęcia obywatela, wyborcy ks. Kopycińskiego są tymi, którzy już stanowili publiczny sąd obywatelski, i posłaniem ks. Kopycińskiego do Sejmu wydali na niego wyrok.

Jak obywatele par excellence obchodzą się z ludem, którego interes zarazem zastępują jako jego posłowie w sejmie, okazuje bez nagany przyjęte sprawozdanie komisyi budżetowej o preliminarzu szkolnym.

Najpierw nie można przemilczeć, że jedynie w Galicyi obszary dworskie nie równo z innymi obywatelami — przepraszam, bo obywatelami są jedynie posiadacze obszarów dworskich — więc z ludem stanowiącym gminę, przyczyniają się na wydatki szkolne bo jak 1: 3 t. j. tylko w $^1/_3$ tego, co każdy w gminie wydaje na szkołę.

Otóż komisya podnosi nawet z pochwałą dla Rady szkolnej, że ta mimo uznania, że dane nakazują utworzenie szkoły etatowej, lub przemienienie na etatową szkołę „matki“, która właściwie nieprawidłowo była założoną, bo od początku już winna była zaprowadzona szkoła etatowa, tylko w tych wypadkach zadosyć czynić na ustawach opartemu żądaniu gminy, jeżeli wpierw obowiąże się zwyżkę wydatków ponieść za kraj, który obowiązanym jest wszelkie wydatki szkolne wyższe, niźli przez gminę opłacany $^9/_{00}$ dodatek do podatków bezpośrednich ponosić.

Jest to po prostu dawna terminologia, wyrażając się p r e g r a w a c y ą podwładnego i to przez władze półautonomiczne, której uchwały sankcyonuje

---

majątek przekazali podobno na jakiś dobroczynny zakład; była więc chociaż przed śmiercią skrucha. Oprócz Bukowa należał do nich i Trześniów. Dawniej mieszkali Sikorscy w Krakowie, potem we Lwowie, a wieś wypuszczali w dzierzawę.

W Bukowie zastałem p. Rodziewicza, emigranta, który się ożenił z panną N. N. Piękna ta pani roiła sobie że jest Wenerą i dumna z tego była. Nie bywałem tam, tylko pamiętam, razu pewnego w Sobotę Wielką, przyjechał wóz chłopski po mnie, abym przyjechał święcić paschę. Lud przynosił swoje święcone do dworu i rozłożył na gazonie. Ale Wenus wypadłszy na ganek, zawołała:

— A! fe! — smród — zasmrodziliście mi cały gazon! Weźcie sobie wasze święcone i idźcie ztąd precz?

I lud zabierał swoje święcone i powracał do domu.

Oburzyło mię to, a więc krzyknę do woźnicy: — „Nawracaj i jedź do wójta!“

— Księże wikary, księże wikary! Prosimy! A to co się znaczy?

— Do chłopów przyjechałem i do nich jadę! — zawołałem, chcąc tym sposobem ukarać tę kobietę bez miłości Boga i bliźniego w sercu.

Nazajutrz dopiero pojechał ksiądz proboszcz i poświęcił we dworze. Takie to było towarzystwo szlacheckie w parafii.

Czas mój schodził na lekturze i pisaniu, a wieczorem z proboszczem chodziliśmy do dworu na maryasza ze starym szambelanem. Starzec zwykle o godzinie 9tej udawał się na spoczynek, a my szli do drugiego pokoju i tam grali wiska, albo prowadzili pogadankę z p. Jaworskim, dzierżawcą i byłym ułanem polskim w legii nadwiślańskiej.

Pomny na posłannictwo moje jako kapłana polskiego, wierząc w to, że tylko przez oświatę ludu odrodzenie Polski jest możliwe, wziąłem się szczerze do oświecania tego ludu, przez katechizowanie, opowiadanie rozmaitych zjawisk w przyrodzie, ucząc przy tem czytać i pisać kilku chłopców, których u siebie w stancyi zgromadzałem.

Przyganiał mi to stary szambelan, że nie warto się chłopem zajmować, że będzie pisał supliki i t. p. Odpowiedziałem na to: „że gdyby była szlachta zaraz po rozbiorze chwyciła się tego ratunku i szkółki zakładała, dziś byłby lud innym i coś przecież rozumiał. Ale stary szlachcic śmiał się z tych moich uwag

Na takiej miłej zabawie zeszła mi zima i rozpoczęła się praca spowiedzi wielkanocnej, a jestto najprzykrzejsza praca wikaryuszów i ubogich plebanów. Nastąpiła późna Wielkanoc, a jednak o śniegu odbywała się rezurekcya. W tym bowiem 1843 r. w Lutym tak się nagle ociepliło powietrze, że orano, siano, motyle i chrząszcze latały; ale gdy potem uchwycił mróz, to się srożył aż do św. Krzyża.

Pewnego razu przynosi ks. proboszcz z poczty aplikatę dla mnie, którą powołuje mię ks. biskup do Strzałkowic pod Sambor. Posada wprawdzie dobra i bliska rodziców, ale lud bardzo za mną żałował, który nieraz do rzewnego płaczu przez kazania moje poruszałem. Szlachta bardzo upraszała, aby zostać, a szczególnie p. Ostaszewski, projektując mi probostwo rychłe w tych stronach, gdzie tyle szlachty i t. p. Ale była to tajemna sprawa ks. proboszcza, a powodowała go do tego tylko bieda, który chciał się obejść bez wikaryusza, by się jakoś wyłabudać z długów. Prosił więc o moje przeniesienie, lecz mi o tem nie wspomniał.

Po serdecznych pożegnaniach z ludem i panami, wyjechałem do Strzałkowic mil 15.

Biedny wikaryusz za miesięcy 7 wziąwszy od proboszcza 28 fl. z wiktem, gdy mi się należało 70 fl., musiałem resztę darować, bo na to egzekucyi nie było dla wikarych; ale prawda i to, że ks. proboszcz byłby zapłacił, gdyby był miał.

Strzałkowice.

Tyle mi grzeczności uczynił ks. Piękosz, że mi dał koni aż do Przemyśla. Tu przyjechawszy, byłem u ks. biskupa i dowiedziałem się, że proboszcz samborski napisał protestacyę do konsystorza, aby mię nie przeznaczono do Strzałkowic, tylko do Komarna, motywują swoją protestacyę tem, że mając pod ręką rodziców, będę zaniedbywał moje obowiązki i t. p. Prawdziwą zaś przyczyną

rząd przez swego namiestnika, postanowionego do wstrzymywania uchwał przeciw ustawie.

Ciekawą jest rzeczą, w jakiej formie przymuszają gminy do dania swej deklaracyi, czy takowa bywa przez Radę powiatową, (nie zaś Wydział powiatowy) zatwierdzoną, czy nareszcie władza rządowa, czuwająca nad prawidłowością uchwał urzędów autonomicznych, zdobyła się na zastanowienie nad odpowiedniemi uchwałami Rad gminnych i Rad powiatowych, względnie Wydziału krajowego. — Czy władze zastanowiły się nad tem, że gminy mają i inne kosztowne wypełniać obowiązki? — że przeciążenie ich w jednym kierunku prowadzić musi do zaniedbania innych czynności publicznych.

Czy podobne postępowanie rewolwerowe wobec gmin jest świadectwem pieczołowitości dla szkolnictwa?

Co do szkół filialnych, mówi wprawdzie ustawa, że tam, gdzie majątek gmin nie wystarcza na utrzymanie szkoły etatowej, ma być zaprowadzoną szkoła filialna. Lecz inny artykuł ustawy szkolnej oznacza wyraźną granicę prestacyi gmin dla szkół.

Otóż koszta na rzeczone potrzeby, głównie na budynek szkolny same gminy i obszary dworskie w powyższym stosunku 3 : 1 ponosić mają; nauczyciele zaś gminy $^9/_{00}$, obszary $^3/_{00}$ podatków bezpośrednich wydawać mają, poczem przysługa im prawo wobec funduszu okręgowego względnie krajowego, aby braki szkolnego funduszu gminy szkolnej pokryły. Gdyby więc gmina i obszar dworski nie mogły budynku szkolnego postawić, mimo, że do tego wydatku powinien nieść pomoc zaliczką fundusz krajowy lub gdyby gmina nie mogła $^9/_{00}$ od podatków złożyć, wtenczas jedynie może Rada szkolna krajowa założyć filię. Zważywszy jednakże, że istnieje przymus szkolny tak wobec gmin co do założenia szkoły, jakoteż wobec rodziców do posyłania dzieci, to na każdy wypadek filiałka musi mieć mieszkalne pomieszczenie takie, iżby dzieci obowiązane do frekwentowania szkoły dostały w tylu oddziałach i przez tylu nauczycieli udzielaną naukę, ile ustawa przepisuje, która nie koniecznie żąda własnego dla szkoły budynku. Jeżeli już dla filiałki jest potrzebne pomieszczenie, to takowe może służyć i dla szkoły etatowej; a jeżeli gmina opłaca $^9/_{00}$, a obszar dworski $^3/_{00}$ podatku na nauczycieli, to odpada przypuszczenie, dozwalające założenia filiałki, a staje stanowczo obowiązek utrzymania szkoły etatowej. Więc przyczynia ona się do funduszu powiatowego względnie krajowego, do pokrycia reszty kosztów szkoły etatowej.

Rada szkolna krajowa zaś zaprowadza mimo tego szkoły filialne nawet w gminach daleko oddalonych od najbliższej szkoły etatowej, której nauczyciel winien nadzorować szkołę filialną, a więc zaprowadza bez właściwego nadzoru, a wiele takich szkół filialnych powinne przyjmować tyle dzieci, że według ustawy dwóch lub więcej oddziałów i tyluż winno być nauczycieli. Czyż w takich szkołach z nauczycielami młodszymi mogą wydołać zadania szkoły?

Mówiono, że kraj za wiele łoży na szkoły. Otóż porównajmy nasze wydatki z wydatkami innych krajów.

Wedle zamknięć rachunków funduszów krajowych z r. 1882 łożyło szkolnictwo:

Niższa Austrya	1 320.809	złr.
Wyższa „	58.208	„
Salzburg	176.770	„
Styrya	1,866.447	„
Karyntya	325.275	„
Kraina	22.511	„
Gorycya	65.446	„
Istrya	101.068	„
Czechy	2,993 650	„
Morawa	1.447.670	„
Szląsk	84.315	„
Bukowina	19.112	„
Galicya zaś	530.495	„

Czyż kraj w samej rzeczy nie jest w stanie więcej na szkoły łożyć? Odpowiedź na to zagadnięcie można dać po bliższem zbadaniu innych rubryk wydatku krajowego, ważąc takowe, czy są pilniejsze i ważniejsze, niżli szkolnictwo i komu pożytek przynoszą: — czy jednostkom, czy ogołowi więcej, lub bezpośrednio, czy obywatelstwu, czy ludowi?

Nie wchodzimy w takie ocenienie, albowiem każdy bezstronny znajdzie różnicę i wyda sąd. Nie możemy jednakże nie przytoczyć nawiasowo, że dziury od głębokiego wiercenia, nie dla ludu, a 40.000 złr. z. r. okrojone funduszowi szkolnemu dla przemysłu krajowego tego nie wzmocniły, ale osłabiły szkoły ludowe.

Wiec rolników

w sprawie

Przesilenia agrarnego.

I.

Dzisiejsze społeczeństwo żyje w odbywającej się ewolucyi i wydaje z siebie dobę nową; lepszą czy gorszą, nikt powiedzieć nie umie. Jesteśmy więc w okresie przechodnim i z całą dosadnością czujemy na sobie taką dobę przechodową. I dopóki się nie skończy to przejście polityczne, społeczne, ekonomiczne, narodowe, religijne, materyalne i umysłowe, nie ma rady jak cierpieć i dla dobra następców naszych zdobyć tyle korzystnego, ile siły pozwolą. Kto bowiem sam ręki nie przyłożył do dzieła własnego ocalenia o własnych siłach, zginął. A już to można powiedzieć, jest wrodzoną naszą właściwością, że zawsze się na obcą pomoc oglądamy, toż nawet i wobecnem t. zw. przesileniu agrarnem czyli rolniczem, spodziewamy się, że nam z własnej inicyatywy pospieszy kto na ratunek. Jeżeli z nastaniem autonomii dla naszego rolnictwa nastały smutne czasy, to tem gorzej dla rolników, którzy z praw autonomicznych nie korzystają. Zapobiedz tej ciężkiej sytuacyi przez tworzenie coraz nowych praw, to rzecz niemożliwa, jak niepodobna zepsuty zegarek naprawiać ciągłem regulowaniem wskazówek.

Cały punkt ciężkości dzisiejszego przesilenia w kraju naszym, spoczął na inteligentnych rolnikach, żyjących na roli i z roli, którzy jak to powiadamy, sami sobie są ekonomami i zapatrują się na to przesilenie ze stanowiska ekonomii wiejskiej. — Od dłuższego już czasu słyszymy i czytamy o przesileniu ekonomicznem, które ma być w całej Europie powszechne, i które tak samo w naszej Galicyi równomiernie objawić się miało. Niesłyszeliśmy ale dotąd, aby w którym kraju było przesilenie agrarne, dopiero nasze chlebodajne Podole wystąpiło z tem w Tarnopolu. Tak samo objawiły inne miasta powiatowe, aż nareszcie zwołano wiec rolników na dzień 11. Grudnia 1885. do Lwowa i obwieszczono światu, że w Galicyi istnieje przesilenie agrarne.

Na tych ale zgromadzeniach nie zastanowiono się nad tem przesileniem ze stanowiska agrarnego według ekonomii wiejskiej, tylko obradowano nad przesileniem ekonomicznem ze stanowiska kapitalizmu według ekonomii społecznej. Chociaż te zebrania miały nazwę wieców rolniczych, były to zawsze tylko zgromadzenia ekonomistów, gdzie preferowano przy obradach przemysł i handel nad rolnictwem i identyfikowano przesilenie agrarne z przesileniem ekonomicznem. Nikt tego nie zaprzeczy, że przesilenie agrarne jest powodem do przesilenia ekonomicznego, bo chociaż rolnictwo po krachu wiedeńskim r. 1873. poszło na handel kapitalizmu, pozostanie ono zawsze pierwszym i najważniejszym czynnikiem, regulatorem przemysłu i handlu i podstawą do wytwarzania bogactwa. Na wiecu rolników we Lwowie nie zbadano dlaczego w tak ściśle rolniczym kraju jak Galicya ma istnieć przesilenie agrarne, a w innych krajach Przedlitawii nie, tylko przedłożono gotową rezolucyę o zaprowadzeniu ceł ochronnych, konieczności reformy taryf kolejowych, przypuszczeniu rolników do kredytu w Banku austro-węgierskim, reformie podatku gorzelnianego i opodatkowaniu tego, co dotąd nieopodatkowane. Każdy rolnik z zawodu jest tego przekonania, że powyżnaprowadzone żądanie w rezolucyi, ani nie spowodowało rozpaczliwego położenia rolników, ani nie zapobiegnie przesileniu. A że na wiecu rolników forytowano przemysł i handel z upośledzeniem rolnictwa, wytykano niedokładność w stylizowaniu o cłach, taryfach i bankach, nie zastanowiono się nad sprawą agrarną tylko nad przesileniem ekonomicznem, a w końcu zgodzono się na małoważność sprawy jako czysto ekonomicznego znaczenia, zatem nie był to wiec rolników tylko ekonomistów, którzy trzymają się tej zasady, że ziemia jako pracownia przyrody z tem wszystkiem co się znajduje na jej powierzchni lub kryje w jej łonie, jest głównem źródłem bogactwa dla ludzkości, bo wszystko co produkuje rolnik, przemysłowiec, górnik a nawet czem handluje kupiec, jest wytworem przyrodniczych sił ziemi.

Wprawdzie podniesiono na tym wiecu jedną sprawę odnoszącą się do rolnictwa, bo w 4tym ustępie rzeczonej rezolucyi objawiono to zdanie, iż koniecznem jest obniżenie podatku gruntowego, oznaczonego ustawą z dnia 7. Czerwca 1881., motywując to oświadczenie tem, że dzisiejsze ceny płodów rolniczych są znacznie niższe od cen przeciętnych, które służyły za podstawę do katastralnego obliczenia dochodu z ziemi i opodatkowania tegoż. Owóż wiadomo wszystkim tym rolnikom, którzy przy tym szacunku i obliczeniu dochodu katastralnego udział brali, a było ich w kraju 636 członków, że ceny przeciętne z 15tu lat z czasu przed rozpoczęciem szacunku, nie były podstawą do katastralnego obliczenia dochodu gruntowego, ponieważ te ceny przeciętne miały według ustawy z dn. 24. Maja 1869. §. 22. tak samo jak i inne pisma pomocnicze służyć tylko za środek kombinacyjny, a §. 29. tej ustawy pouczył każdego członka komisyi szacunkowej, że na te ceny przeciętne nie powinien reflektować, a dochód z gruntu taki oznaczać, jaki w czasie jego szacowania uznali za stosowny. Żaden z rolników, który 30 lat gospodaruje, tego nie zaprzeczy, że ceny przeciętne z 15tu lat t. j. od r. 1855 do 1870 nie są wyższe, tylko przeciwnie niższe od teraźniejszych cen przeciętnych od r. 1871 do 1885. i gdyby się byli członkowie komisyi tamtemi cenami zboża przy szacowaniu gruntów posługiwali, to byłby szacunek dochodu gruntowego daleko niżej wypadł. Te ceny przeciętne, które

---

tej protestacyi była obawa księdza proboszcza, który żył w nieprzyjaznym stosunku z ks. dziekanem, abym tegoż nie nauczył, jak się ma opierać dzikim pretensyom ks. proboszcza.

Ks. biskup przestrzegając mię, abym ściśle wypełniał swoje obowiązki, aby „wściubski" (tak nazywał proboszcza) nie skarżył się na ciebie, bo wtedy musiałbym cię przenieść.

Przyjechawszy do Sambora, wśród łez radosnych powitawszy rodziców, poszedłem do ks katechety oraz dziekana, który mi powtarzał to, co ks. biskup mówił. Odpowiedziałem, że wypełnianie obowiązków leży mi na sercu, że tu dwojaką pracę, bo za proboszcza i za siebie prowadzić trzeba, i zadośćuczynić potrzebom parafii; a gdy w wolnych chwilach odwiedzę rodziców, to mi za złe nikt brać nie powinien. Zapewniam ks. kanonika, że nie dam powodu do użalania się na mnie.

Przyczyna nieprzyjaźni i kłótni między proboszczem Strzałkowickim i dziekanem samborskim, rozwinęła się z następującego powodu:

Przed 200 laty istniał na gruncie Strzałkowickim kościół św. Barbary, do którego lud pobożny i nie pobożny w dni Zielonych Świąt pielgrzymował. A gdy później Tatarzy czyli raczej Rakoczy zburzył go i spalił, stały ruiny z tęgich cegieł, które Verwalterya niemiecka za cesarza Józefa rozebrała, sprzedała, a pieniądze znikły w jej kieszeniach. Została tam tylko w polu wybudowana z kamienia figura, a przy niej krynica, do której lud nawykły, pielgrzymkę w Zielone święta odbywał. Wtedy cały Sambor zacząwszy od przedmieszczan aż do samego starosty, odwiedzał przed tem figurę, a dziś stanął tam kościołek. Lud myje się wodą, którą uważa za uzdrawiającą, modli się, a potem pije w szałasach tam ustawionych, gdzie sprzedają wódkę, piwo wino; pożywienie przynosi każdy z sobą, gości się nawzajem i jest tam wesoło w te dnie Zielonych świąt.

I ja będąc w domu w szkołach, odwiedzałem tę figurę, modliłem się i raczyłem w szałasie z innymi kolegami. I ani mi się śniło, że kiedyś stanie kościół, a ja w tym kościele będę miał mszę i mawiać będę kazania. A jednak tak się stało. Gdy tu kościół budowano r. 1832 i 33, nie było mię tu. Kościół stanął z pobożnych ofiar i dobrym był konceptem ks. Staszkiewicza, proboszcza Strzałkowic. Przyszła straszna cholera, która grozą swoją dziesiątkowała Sambor i okolicę. Zgromadzenia ludu z nabożeństwa do tego miejsca w dobrych czasach chętnie sypały grosz na budowę kościółka. Ale wnet stał się ten kościół kością niezgody między plebanami Strzałkowic i Sambora. Kłuło to nienasyconego kanonika w Samborze, że pleban strzałkowski wszystkie wielkie przychody połyka, nie chcąc się z nim podzielić tą świętą propinacyą.

W Samborze na Zielone Święta odprawia się czterdziesto-godzinne nabożeństwo; wiele światła się spali, mało ludzi bywa w kościele, tylko dążą do kościółka w polu.

Gniewny na to kanonik wyprawia trębaczów na miejsce do św. Barbary i zakazuje zgromadzeń, każe burzyć szałasy i t. p. gwałty czyni. Chłopi podchmieleni i oburzeni na takie zakazy, wybili miejskich policyantów i trąby im połamali. Gwałty, wrzaski, przekleństwa i bitki na świętem miejscu zamiast modlitwy i świętobliwych pobożnych śpiewów. Lud wynosi się z szałasami i budami na terytoryum strzałkowskie. Verwalterya kontenta, że propinacya się dobrze opłaca.

Jakieżto było z tego zazdrosnego łakomstwa zgorszenie, jakie lekceważenie religii, każdy zrozumie.

Kanonik samborski nie ustępuje; wyrabia zakaz u konsystorza w czasie administracyi dyecezyi przez ks. Wojtarowicza, późniejszego biskupa tarnowskiego, przedstawiając mu w jaskrawych kolorach zgorszenia, pijatykę i inne rozpusty ludu, zgromadzonego pod kościołem św. Barbary i przeszkodę w odprawianiu 40-godzinnego nabożeństwa. Ks. administrator zakazuje otwieranie kościoła w dni Zielonych świątek, a podczas roku tylko w dzień św. Barbary pozwala odprawiać tam nabożeństwo. Taki zakaz rozjątrzył nietylko lud prosty, ale jeszcze bardziej wyższy stan. Nie zważał lud na zamknięcie kościoła, wybijał szyby i przez te spuściwszy się, otwierał drzwi, zapełniał kościół i śpiewał, a potem pił w budach, jak to zwykle się dzieje na świętych miejscach. W takim to gorącym cza-

rzekomo miały służyć za podstawę, nietylko że się niemi żaden oceniciel nie powodował, ale co więcej, że nawet nie wchodziły w rachubę.

Podwyższenie dochodu gruntowego z 17,300.047 zł. na 24.487.248 zł. nie powstało przez te ceny przeciętne, tylko przez to, że klasyfikacya gruntów i wyśledzenie czystego dochodu nie odbyło się na podstawie gruntów włościańskich, tylko przez niezrozumienie ustawy z d. 24. Maja 1869. na podstawie gruntów dworskich, o czem r. 1880. i 1881. w kilkudziesięciu artykułach różnych dzienników krajowych czytać było można i dotąd tego nikt nie zaprzeczył.

Co do stylizacyi o obniżeniu podatku gruntowego, oznaczonego ustawą z dnia 7. Czerwca 1881., to także jest niezrozumiałe, albowiem rzeczona ustawa poucza każdego, że niema płacić podatku, tylko ma się uiścić z powinności podatkowej (Steuerschuldigkeit) o czem się każdy rolnik z swej książki płatniczej przekonać może a nawet i z tego, że po klęskach elementarnych bywa rolnikom opuszczony podatek, ale nigdy powinność podatkowa, którą nawet po klęskach elementarnych w steueramcie musi zapłacić. Obniżenie zaś samego podatku gruntowego jest znowu dlatego niemożebne i niewykonalne, ponieważ musiałaby nastąpić powtórna regulacya podatku, ale nie w Galicyi tylko w całej Przedlitawii. A chociaż Galicya stanowi terytoryalnie $^1/_4$ część Przedlitawii i ostatnia regulacya podatku kosztowała przeszło 24 milionów zł., więc i reszta $^3/_4$ części składowych Przedlitawii trudno, aby się na to zgodziły, albowiem nie byłoby to w ich interesie. Z tego wypływa, że jeżeli wytykano o niedokładnem stylizowaniu rezolucyi o cłach, taryfach i bankach, to stylizacya 4to ustępu o podatkach, jest co najmniej mylną. Jeżeli na wiecu powiedzieli rolnicy, że rok 1885. był rokiem urodzajnym (kopnym i sypnym) i ceny ziemiopłodów nie są niskie, to zkądże powstało naraz przesilenie agrarne? Prawda, że bardzo często można w dziennikach krajowych czytać, że obecnie są ceny ziemiopłodów notorycznie niskie, ale z tego nie wypływa, aby to tak miało być w samej istocie, bo kalkulacya rolnicza a dziennikarstwo, to dwie osobne wiedze ludzkie, które trudno czasem pogodzić. Na tym wiecu zapowiedzieli rolnicy, że na drugi rok przyjadą na takie same zgromadzenie chyba w łapciach, bo taki brak pieniędzy daje się czuć między rolnikami, że nie są nawet w stanie powinności podatku gruntowego zapłacić i dlatego zalegają z wielkiemi restancyami. Otóż z tego pokazuje się, że dał się uczuć brak monety i powstał jakiś anormalny obrot pieniężny u inteligentnych rolników, którzy stanowią prawdziwą potęgę narodu i imponują liczbą i zasobem umysłowym, a z łona których istotna wytworczość się zradza, bo magnaci, arystokraci, bogacze należą po większej części do nieprodukcyjnych warstw społeczeństwa. Posiadając znaczniejsze fundusze, zużywają bez trosk i kłopotów procenta ztąd rosnące. Żyją bądźto wręcz jako kapitaliści, bądź także sinecura jako członkowie rad zawiadowczych towarzystw kolejowych lub innych instytucyj pieniężnych.

Wiec rolników w sprawie przesilenia agrarnego zakończył się na tem, aby z petycyą o ratunek udać się do Najjaśniejszego Pana. Taka uchwała musi doznać tego samego losu, jaką doznała uchwała sejmowa w r. 1880 w tej samej sprawie, kiedy to przed 6ciu laty już przeczuwano dzisiejszą klęskę rolników. Ponieważ rzeczona petycya jest kommutabilną, bo odnosi się do spraw ekonomicznych i rolniczych, więc to, co dotyczy ceł ochronnych, taryf kolejowych i banku, pozostawić potrzeba ocenieniu ekonomistom, co się zaś tyczy obniżenia podatku gruntowego rolnikom, to taka petycya bezwarunkowo niemoże być przedłożoną Najjaśniejszemu Panu, ponieważ jest nielegalną, a niepowinna być przedłożoną dlatego, ponieważ rolnicy galicyjscy wydali sobie świadectwo, że się z uiszczeniem należytości podatku gruntowego do ustawy z dnia 7. czerwca 1881 niezastosowali.

Chcąc się nad tem ze stanowiska czysto rolniczego ekonomii wiejskiej zastanowić, zkąd powstał brak pieniężny i zatrwarzająca sytuacya rolników, pomimo, że rok 1885 był urodzajnym i ceny produktów nie są zbyt niskie, to trzeba przedewszystkiem zaznaczyć, żeś my sobie tę nazwę „przesilenie“ antycypowali, albowiem, dzisiejsza sytuacya rolników nie jest jeszcze przesileniem, tylko rozwiniętą już chorobą, która dojdzie do przesilenia, a choroba sama nie jest nic innego, tylko klątwą złego czynu, który złe następstwa pociągnie za sobą.

Nakoniec trzeba zastanowić się także i nad tem, że istnieją dwie klasy rolników, tj. właściciele i dzierżawcy, dlatego o każdéj klasie tych rolników z osobna wypada pomówić. *Ambroży Chmielewski.*

Cenna ilustracya do regulacyi rzek w kraju,

czyli

KRÓLIK NADWÒRNIAŃSKI.

Odbieramy z Nadwórny korespondencyę, którą podajemy ad usum nietylko wszystkich Wysokich Władz politycznych i autonomicznych w kraju, ale i dla wiadomości odnośnego Wys. Ministeryum w Wiedniu, biorąc wszelką odpowiedzialność na siebie.

Redakcya.

Czyniąc zadosyć żądaniom Redakcyi *Strażnicy pol.*, podaję wierny opis gospodarki w tak zw. „Państwie Nadwórniańskiem“, własności wiedeńskiego „Boden- Credit-Austalt“, którego pełnomocnikiem jest p. Rudolf Gablenz.

Donoszę wam o niesłychanych nadużyciach ustawy lasowej z d. 3. grudnia 1852 i o krzywdach mieszkańców, zmuszonych żyć w sferze działalności ustawy wspomnianej nad górną Bystrzycą w powiecie Nadwórna, pewny będąc, iż o tych nadużyciach odnośne Wys. Władze rządowe lub autonomiczne ani przypuścić mogą, iżby takowe istnieć mogły gdziekolwiek w Europie, a tembardziej w Galicyi, pod opieką najszlachetniejszego z Monarchów.

A jednak to jest rzecz prawdziwa, a nawet Wysokie c. k. Ministeryum może kazać sobie sprawdzić fakfa niżej wymienione poczęści z aktów ck. Starostwa, w części zaś przez wysłanie na miejsce odnośnych i specyalnych agentów.

I tak: 1) Według §. 34., każdy przedsiębiorca spławu winien jest obmurować należycie brzegi, budynki i zakłady zagrożone spławem.

Tymczasem obszar dworski Nadwórna nietylko nie zabezpieczył brzegów pola naftowego, lecz przeciwnie bez wiedzy i woli c. k. Starostwa wykonał ukradkiem lub jawnie *wielkie roboty wodne na brzegu przeciwnym*, *zamknął główne koryto Bystrzycy, równie jak jedno czy dwa poboczne*, a to wbrew nakazom c. k. Starostwa i warunkom udzielonego mu konsensu przez Wysokie c. k. Ministeryum.

2) Według udzielonego konsensu Obszar dworski Nadwórna powinien dawać sygnały każdym razem kiedy spławy mają być puszczone. Tymczasem ci panowie nie mają nawet żadnych przyrządów do dawania sygnałów i takowych nigdy nie dają.

3) Obszarowi dworskiemu, podług warunku konsensu, wolno jest podnosić poziom wody Bystrzycy tylko na 50 centymetrów ponad zwykły stan. Tymczasem faktem jest, iż obszar dworski Nadwórna puszcza swoje spławy przy wysokim stanie wody, liczącym przeszło dwa metry, jak to miało miejsce w nocy z 28. na 29. lipca zr.

4) Według §. 40. wspomnianej ustawy winien przedsiębiorca, po ukończeniu każdego pojedyńczego spławu, natychmiast uczynić o tem relacye do władzy politycznej.

Tymczasem obszar dworski Nadwórna nigdy podobnej relacyi do świetnego c. k. Starostwa nie robi, ale puszcza spław za spławem co dnia prawie, jeżeli upały atmosferyczne w górach dadzą dosyć wody, a czasami i dwa razy dziennie.

Tym sposobem Władza polityczna nic nie wie o spławach, a tem mniej o szkodach poczynionych i nie może wezwać interesowane strony do wniesienia swych pretensyi.

Obszar dworski Nadwórna ma zawsze gotową wymówkę: podług niego to, woda zbiera porozrzucane kloce na korycie Bystrzycy i unosi je w dół, a nie woda zebrana w klauzach czyli stawach.

5) Bezpieczeństwo publiczne u nas nie istnieje: nie ma tej gminy, aby powódź kogoś co roku nie uniosła, a c. k. Sądy robiąc obdukcyę, nie przypuszczają nawet, aby powódź zabierająca ofiarę, mogłaby być inną jak od Boga zesłaną!

Jakie krzywdy ponoszą mieszkańcy z takiego nadużycia ustawy lasowej z d. 3 grudnia 1852 r. można łatwo zdać sobie sprawę z samych przytoczonych faktów.

Żeby jednak mieszkańcy nadbrzeża, i kraj takie tylko ponosił krzywdy, byłoby jeszcze pół biedy.

Aby powziąć wyobrażenie, na jakie okropności są narażani mieszkańcy nadbrzeżni i jakie straty kraj ponosi z udzielonej koncesyi obszarowi dworskiemu Nadwórna, przypomnę, iż tenże obszar dworski posiada pięć stawów, zwanych klauzami, mieszczących w sobie razem dwa miliony i pół metrów sześciennych wody.

Zebrane w nich wody tworzyłyby rzekę 25 kilometrów długą, 50 metrów szeroką a dwa metry głęboką!

Owe stawy są pod dozorem stróżów i otwarcie ich od nich zależy. Nie troszczą się oni bynajmniej o klęski powodzi, jakie otwarcie stawów za sobą pociągnie, a być może, że nawet nie rozumieją jakie szkody wyrządzić są zdolni.

To się przytrafiło właśnie w nocy z dnia 28 na 29. lipca zr. o godzinie pół do 4. zrana.

Nie pomnąc na to, że od trzech dni deszcz ustawiczny podniósł poziom wody Bystrzycy około półtora metra najmniej wysokości ponad zwykły stan wody, dozorcy stawów, którzy nie poodmykali upustów przy pierwszym deszczu, widząc, że woda grozi złamaniem klauz, otwarli śluzy i tem samem sprawili spustoszeni całej dolinie,

---

sie przybyłem do Strzałkowic przed Wniebowstąpieniem Pańskiem 1843 r.

Proboszcz ks. Fr. Staszkiewicz, który tu od r. 1814 rządził parafią, już podeszłego wieku, był wzrostu wysokiego, siwych oczu, z nosem i policzkami czerwonymi. Należał do tych księży, u których kościół jest tylko świętą arendą, parafianie dojnemi owieczkami, a duszpasterzowanie rzemiosłem. Wszystko też co czynił, było w tym celu robione, aby przynosiło dochód. Miał nawet maszynę elektryczną, która mu rocznie do 1000 fl. k. m. przynosiła. Skoro cieplejszy zawiał wietrzyk, już dziedziniec plebański licznemi był zapchany furami, chorzy zjeżdżali się do — „lutryki“. Ks. pleban macał chorych mężczyzn, niewiasty, dziewki, i elektryzował, a dziad kościelny kręcił korbą w maszynie. Wozy chorych nie były próżne, tylko rozmaitemi napchane rzeczami: ser, masło, cielęta, kury, gęsi, drzewo, zboże, ziemniaki, napełniały takowe, oprócz pieniędzy na Mszę św. ofiarowanych.

Stary zużyty pleban nie miał nikogo przy sobie z krewnych, tylko jakąś z szynalowemi zębami podstarzałą krzywą babę, która wykrzykiwała po plebanii, kąsając ludzi i dokuczając księżom wikarym.

Utrzymanie ks. plebana było 400 fl. m. k. z kasy funduszu religijnego. Wikaryusz z kasy płacony miał w dodatku wikt u ks. plebana, za którego pracował. Boże zmiłuj się nad tym wiktem. Stary pleban nic nie robił, tylko odprawiwszy Mszę św. w niedzielę lub święto, a czasem tylko w dzień powszedni, siedział w pokoju, „lutrując“ siebie i ludzi. Zawsze zalany, obrzydliwy, siadał tylko pro forma do stołu; a gdy wikary odszedł, raczyła go krzywa gospodyni przysmakami. Wikary jak wół w jarzmie: na ambonie, do chorego, w kościele i wszędzie pracować musiał, a karmiono go jak parobka prostemi potrawami. Pleban liczył 58 lat, ale już był tak przeżyty, że go dźwigać musieli do ołtarza. Nadmiarę łakomy i chciwy, był przez to nieznośny. Zrazu mi podchlebiał, ale potem zazdrościł każdego grajcara, nawet tego, co ludzie za chrzest lub wywód ofiarowali. A nie miłe to były te kłótnie, które o ten grajcar były prowadzone.

Strzałkowice, wieś niegdyś ks. Dominikanów samborskich, klasztor tam mających, ale zniesionych przez cesarza Józefa, należała do kamery. Chłopi mieli się dobrze i było wielu bogatych między nimi, ale oddawali się pijaństwu; dlatego pracowałem w tym względzie na ambonie i w konfesyonale. Lud mię bardzo polubił, co znów niezmiernie gniewało ks. plebana.

Bywało nieraz, gdym wyszedł na przechadzkę, zastępowali mi drogę w powrocie, i prosili, aby wstąpić do chaty, gdzie mię raczono śmietaną, gomułkami, jaglaną wypiekaną kaszą lub kiełbasą. Trunków od nich żadnych nie przyjmowałem.

Przyjemna ta wioska, istne przedmieście samborskie, napełniała się ludem szczególnie w dzień św. Wincentego, patrona parafialnego, jako w dzień odpustu. W ten dzień wielka praca przy spowiedzi i nabożeństwie i przychód na msze był większy. z którym się także dzielił ks. pleban, biorąc $^2/_3$ dla siebie, chociaż mszy tych wszystkich nie odprawiał. Okrom pracy w kościele pracowałem szczerze i w szkółce; istniała tu bowiem szkoła trywialna czyli niemiecka, w której dzieci chłopskie dręczono czytaniem, pisaniem i wymawianiem niemieckich słów, deklinacyą i konjugacyą, oraz kiepskiem tłumaczeniem, na czem większą część czasu nadaremnie tracono, bo się dziatwa niemczyzny nic nie nauczyła, i mimo, że od r. 1813 była tu szkoła do r. 1843., ani jeden chłop nie umiał po niemiecku czytać ani mówić; dręczony w szkole nabrał odrazy do książek.

Nauczyciel podstarzały, nauczył wprawdzie dziatwę nieco czytać i tłumaczyć do popisu, ale po egzaminie zapomniały dzieci wszystkiego i ledwo słabo czytały po polsku. Widząc takie zaniedbanie polskiego języka, ćwiczyłem dziatwę w czytaniu niby katechizmu i innych książek moralnych, w godzinach przeznaczonych na katechizm 3 razy w tydzień po południu. Kupowałem książeczki do modlenia, pieśni, elementarze i rozdawałem między dzieci, które nie chodziły do szkoły. Liczba czytających wzrastała i przy upływie 3. roku mało takich dziatek było, któreby czytać po polsku nie umiały.

Po pracach w wolnym czasie odwiedzałem rodziców, bo przechadzka pół mili drogi, wśród

Z wodą, która się podniosła nagle w korycie rzeki przynajmniej na jakie 60 centymetrów jeszcze wyżej i mogła dosięgnąć do 2 metrów 20 cm. wysokości, poszło w zwartej masie kilkanaście, a może kilkadziesiąt tysięcy kloców w stanie niezwiązanym, lecących pędem lokomotywy.

Fale tych kloców co chwila się zatrzymywały, tworząc mniejsze lub większe zatory, wspinały nagle wodę czasem na metr wysokości, pod jej parciem znów pękały, aby poniżej utworzyć nowy zator lub wyskakiwały na brzegi jakby jakie ożywione potwory, a wszędzie roznosiły spustoszenie, obrywając brzegi, niszcząc jednem uderzeniem tamy, gdzie jakie były, żłobiąc nowe koryto i prąc przed sobą rzekę kamieni, które stukiem swym podziemnym podnosiły grozę obrazu, jakiego napróżnoby kto szukał w opisie piekła Dantego!

Masa tych kloców, albo poprawniej wałów klocowych, szła bez przerwy całą godzinę; wody puszczonych stawów cały dzień potrzebowały, aby przepłynąć przez szerokie koryto Bystrzycy.

Szczęściem dla nas nie utworzył się żaden zator, któryby mógł wytrzymać parcie wody przez kilkanaście minut, a cóż dopiero przez kilka godzin czasu. Gdyby to nastąpiło, Pasieczna wymazanąby została z karty jeograficznej.

Ale zator taki utworzył się w Zielonej w wąwozie zwanym „Ositny“, złożony z kilkunastu tysięcy kloców, a ma być wysoki na 10—15 sążni i do dziś dnia stoi. Było to dla nas wielkiem szczęściem, iż wytrzymał parcie wody, bo gdyby przełamany został, być może, że kamień na kamieniu nie pozostały z dwóch lub trzech górskich gmin!

Jakie straty poniósł kraj? Podpisany nie wie, ani nawet może badać. To tylko jest mu wiadome, iż Bystrzyca wszędzie prawie wycięła sobie nowe koryto, albo przynajmniej znacznie poderwała brzegi i w pół godziny czasu zniszczyła sąsiednią kopalnię nafty. A jeżeli kopalnia podpisanego ocalała, to nie z winy oficyalistów skarbu nadwórniańskiego; co chwila bowiem u jej brzegu tworzyły się zatory, a wyskakujące kloce docierały do szybu naftowego Nr. 1. Zatorami zaś wspięta woda w górze (od kopalni) rozlawszy się po polach, wyżłobiła sobie dwa koryta i wpadła do potoku Kremenosa, oddzielającego podpisanego kopalnię ode wsi, przecięła na kilkanaście godzin komunikacyę i w przyszłości grozi, iż korytem Kremonsy pójdą wody Bystrzycy.

W każdem ucywilizowanem społeczeństwie zwierzęta mają ochronę prawną. I kraj nasz cieszy się odnośną ustawą nie dozwalającą zwierząt dręczyć.

Czemże się to dzieje, iż liczna i pracowita ludność została niejako wyjęta z pod praw i oddaną na łup kilku oficyalistów prywatnych? Dla czego życie i mienie nasze zależy od widzimisię jakiegoś stróża stawu? Cośmy zawinili w obec Boga i Państwa, że może się nad nami znęcać jakiś przybysz z nad Renu?

Wprawdzie i nam zostawiona jest obrona prawna i podpisany wniósł natychmiast zażalenie do c. k. Starostwa na spław drzewa uskuteczniony podczas wysokiego stanu Bystrzycy w nocy z dnia 28. na 29. Lipica, bez żadnego ostrzeżenia i sygnału i ufa, znając energię z jaką c. k. Władza polityczna zajęła się tą sprawą, że winni zostaną ukarani.

Ale czy nadużycie zostanie usunięte? Jest to pytanie, którego podpisany rozstrzygnąć nie chce.

Podpisany ośmiela się zwrócić uwagę Wysokiego c. k. Ministeryum, iż kary wymierzone §. 41. ustawy lasowej, a mianowicie trzy-miesięczny areszt, lub 150 złr. grzywny są zupełnie niewystarczające dla ludzi, który sobie drwią z ustaw i władz państwowych, równie jak z wszelkich praw boskich i z najprostszych zasad moralności.

Ci panowie mają do zarobienia rocznie przynajmniej pół miliona złr. a. w. na spławach; nie więc dziwnego, iż zdolni są popełnić wszelką nieprawidłowość, byle zysk tak wielki wyciągnąć. A cóż to dla nich znaczy zapłacić kary 150 złr?

Co się tyczy pozwu o odszkodowanie za zniszczenie jakie spławy robią, to może lepiej go nie robić, gdyż oprócz wysokich kosztów komisyi, ktore trzeba naprzód złożyć, proces latami się ciągnie i daje tylko pożywienie adwokatom.

Zresztą trudno dowieść poniesionej straty po kilku tygodniach, gdy komisya na grunt wyjedzie i gdy ślady zniszczenia są już zatarte przez czas lub ręką ludzką.

Trzeba bowiem wiedzieć, iż przedsiębiorca spławu, natychmiast po dokonanem zniszczeniu, wysyła oddział z kilkunastu ludzi i zacierają ślady spustoszenia przez kloce, i to robią nawet przemocą, jak z podpisanym się stało, u którego zabrali do czterdziestu kloców pod szybem Nr. 1., a które przy powodzi wyskoczyły były na grunt przy rozrywaniu się zatorów, pomimo jego protestu. A jeżeli ci panowie tak robią z człowiekiem, który w każdym razie umie czytać i pisać, to cóż oni robić muszą z ciemnym ludem?

To też lud tutejszy, o ile wiem, nie procesuje się z przedsiębiorcą spławu, bo nie wie jak się wziąść do rzeczy i nie ma pieniędzy na koszta komisyi. On umie tylko wyrzekać na spławy, złorzeczyć sprawcom szkód poniesionych i rozpaczać.

Tem gorzej dla niego, a może dla państwa i kraju: istnieje bowiem pomiędzy nimi pewien ferment polityczny natury, na który podpisany ośmiela się zwrócić uwagę. „B o h w y s o k o a C i s a r d a ł e k o“, oto co chłop tutejszy powtarza na każdym kroku, patrząc na ustawiczne powodzie i na zniszczenie jakie sprawują. A jeden z gazdów miał się wyrazić w c. k. Sądzie: „T r e b a p i j t y p i d i n n o h o C i s a r a!“

Podpisany nie robi komentarzy do tych słów bo one nie potrzebują, tak są wymowne same przez się, a człowiek najmniej z polityką obeznany pomimo woli nad nimi zastanowić się powinien.

Wszelkie bowiem idee przewrotu, wszelka propaganda socyalna, lub inna, wylęgły się, jak historya uczy, w społeczeństwach, w których słabszy był wyzyskiwany przez mocniejszego. Podpisany nie przypuszcza żeby jad socyalizmu zatruł tutejszy lud, ale niemniej istnieje ferment niebezpieczny dla przyszłości, który zniszczyć można przez usunięcie nadużyć wyżej wykazanych i przez rozciągnięcie jak najsurowszej kontroli nad całym mechanizmem spławów.

Nadużycia ustawy lasowej nie tu mają swój koniec.

Każda bowiem powódź jest klęską całego kraju, bo unosi kamień i szuter z gór, takowy składa w dolinach w łożyskach rzek, przezco dna tych ostatnich coraz się podnoszą, a powodzie coraz stają się większe i groźniejsze.

Powodzie zaś sztuczne, jakie ustawa lasowa z d. 3 Grudnia 1852, dozwala robić, za pomocą stawów w górach urządzonych, są już stokroć niebezpieczniejsze od powodzi naturalnych, bo kiedy te ostatnie nawiedzają kraj najwięcej dwa razy do roku, pierwsze uskuteczniają się prawie co dnia, czasami dwa razy nawet dziennie, a w każdym razie kilka razy na tydzień, a nadto ciągną za sobą po kilka tysięcy najmniej kloców, które w szalonym pędzie obrywają brzegi, niszcząc tamy i prąc przed sobą całą rzekę kamieni i szutru, aby je złożyć w dolinach, jak wyżej jest powiedziane.

Zniszczenia jednak, jakie te ostatnie powodzie robią, nie dadzą się nawet porównać ze zniszczeniami jakie sprawiają spławy podczas wysokiego stanu wody! Opis powodzi takiej, jaki podpisany podał powyżej, jest zanadto słaby, aby mógł dać wyobrażenie o całej straszliwej grozie nocy z d. 28 na 29 Lipica z. r.! Ażeby dać wyobrażenie o straszliwej sile, jaką taki spław posiada, dodam, że podczas straszliwej owej nocy kloce liczące metr średnicy nawet, lub nawet grubsze, łamały się na kawałki! I taką to siłę niszczącą przedsiębiorca spławu wysłał na nas śpiących, aby zniszczyć nasze mienie, a może i nas pozabijać!

Przy takich nadużyciach podpisany ośmiela się zrobić uwagę, iż rozpoczęta przez wysoki c. k. rząd regulacya rzek na nic się nie przyda, że tylko zupełnie bezużytecznie stracone zostaną fundusze bez żadnej korzyści dla kraju i państwa, gdyż lada stawniczy otworzywszy śluzy, może z łatwością zniszczyć owoc kilkuletniej pracy i kroci wydatku.

Podpisany przedstawiwszy główniejsze nadużycia ustawy lasowej przez skarb Nadwórna, wypełnił swój obowiązek i ufa, że najwyższa państwowa władza użyje całej swej powagi, aby zakazać przedsiębiorcy spławu dalszych nadużyć ustawy lasowej i nie dozwoli mu uskuteczniać nowych spławów dopóty, dopóki nie porobi zabezpieczeń brzegów, odnośnie do §. 34 wspomnianej ustawy, jeżeli wysokie c. k. Ministeryum nie uzna za stosowne cofnąć konsensu, jako karę za nadużycia popełnione, odnośnie do § 41. równie ze względu, że spławy na Bystrzycy są połączone z wielkiemi niebezpieczeństwami, przewidzianemi §. 30. tejże ustawy.

Eustachy Petion.
właściciel kopalni.

NEMESIS
czyli
klienci „Strażnicy polskiej“.

II.

Kurjer lwowski zamieszcza pod tytułem; „Bankructwo zakładu zastawniczego“ — następujący artykuł z pod pióra swego reportera p. Zygmunta Frühling-Frylinga:

„W pierwszym artykule staraliśmy się wykazać, że upadły zakład zastawniczy nie byłby mógł tak długo broić i tyle złego narobić, gdyby władze na podstawie ustawy o stowarzyszeniach zażądały były przedłożenia zamknięć rachunków, a dodać musimy, że władze polityczne uczynić to powinne były także i dlatego, ponieważ zakład zastawniczy musi być przez rząd potwierdzony i podlega osobnej koncesyi, udzielonej przez ministerstwo.

A zwrócić powinno było i to uwagę władz, że upadły zakład zastawniczy i kredytowy nie wzbudzał od dawna zaufania nietylko z powodu nieogłoszania rocznych zamknięć rachunkowych i nieodbywania walnych zgromadzeń, ale także przez stałe usuwanie się od wszelkiej kontroli. Wydział związku stowarzyszeń ponawiał od r. 1883 żądanie przeprowadzenia lustracyi tego towarzystwa, lecz spotykał się zawsze z opozycyą dyrekcyi zakładu, która nie chciała do lustracyi dopuścić, w skutek czego został zakład zastawniczy i kredytowy wykluczony ze związku stowarzyszeń uchwałą walnego zgromadzenia delegatów z roku 1885.

Uchwała ta ogłoszoną była w pismach galicyjskich, musiała więc także dojść do wiadomości c. k. Namiestnictwa, gdyż sprawozdanie walnego zgromadzenia delegatów umieszczone było także w c. k. gazecie urzędowej, która przecież niezawodnie czytaną bywa w c. k. Namiestnictwie.

Przystąpmy teraz do skreślenia historyi tego zakładu.

---

drzew czyli wierzb i wzdłuż się ciągnących zagród przedmieścia samborskiego, prędko się skończyła. U rodziców nagadało się, odwiedziło tego i owego, a wieczorem czy wśród wierzb, czy po bitym gościńcu wracając, przyszło się do domu.

Ledwie nieco popracowałem w tej parafii i odprawiłem jubileusz nadany od Rzymu na upamiętanie narodu hiszpańskiego, który w tym roku chciał się oderwać od Rzymu i osobny kościół hiszpański zaprowadzić, gdy w tem przyszło pismo kościelne, że ks. biskup Z. chce odwiedzić dekanat samborski i dnia 18. Czerwca zjedzie do Sambora; a poboczne parafie: Strzałkowice, Czukiew, Łanowice, Kalinów, mają się zgromadzić w Samborze. Stary pleban ledwie uprosił ks. biskupa, że zjechał do Strzałkowic, spodziewając się, że przy tej okazyi ks. biskup zechce odwiedzić kościółek św. Barbary: ale nadaremny był ekspens jego, bo ks. biskup zwiedziwszy kościół i szkołę — i zjadłszy obiad, pojechał do Sambora, zwołując tamże lud do bierzmowania, nie bacząc, że samborska parafia 10.000 dusz licząca, poda mu do bierzmowania z 5.000, a cóż dopiero inne parafie? — Ot, była to fantazya biskupia. Jakoż mimo, że 3 dni tam bawił, ledwie kilku setkom bierzmowanie udzieliwszy, rzekł:

— Ja już stary, nie mogę; — przyjdzie po mnie młodszy, to was pobierzmuje.

W tym to gorącym czasie szkaradny wypadek przejął zgrozą całą parafię samborską. Przed samym przyjazdem biskupa, bratowa ks. kanonika powiła dziecię na strychu. Wrzask z tego okropny; nieprzyjaciele kanonika tryumfowali i biskupowi anonyme w licznych listach ten szkandal opisywali, ale ks. biskup przeczytawszy je, zapieczętował i oddał na pocztę.

Okropnie się zmartwił kanonik tym wypadkiem, a jeszcze bardziej z tego wynikłą awanturą. Ks. kanonik miał przy sobie bratowę, która porzuciwszy męża pijaka, u księdza zawiadywała domem. Na rozkosznym żyjąc chlebie, zakochała się w ks. K., byłym szefie sztabu, który był w Samborze wikaryuszem; a gdy się ta miłość niepozwolona groźną w skutkach okazywała, z bojaźni przed surowym ks. bratem taiła, aż się wszystko na strychu wyjawiło. Oburzony kanonik wzywa ją do odpowiedzialności i ta wykryła sprawcę. Przywołany do oka grzesznej niewiasty przyznał się do dziecka i zobowiązał się dać na jego wyżywienie; ale gdy przyszło do wypłaty pensyi i ks. kanonik odtrącił mu na dziecko, wyleciał szalony Judasz na kurytarz i wrzeszczał na całe gardło: — „Sam jest ojcem tego dziecka, bo ich ma kilka, a na mnie zwala! — O kanoniku! ja cię nauczę! Ja ci ten łańcuch co na szyi nosisz, na nogi sprowadzę!

W tej wściekłości poleciał do starosty i nagadał niestworzonych rzeczy. W tym czasie zjechał ks. biskup. Kanonik roztropnością swoją umiał biskupa sobie ująć i wrogów uciszyć i uspokoić. Szefa przeniesiono do Kańczugi, a kanonik burę otrzymał.

(C. d. n.)

Inicyatorem i założycielem galic. zakładu zastawniczego i kredytowego był niejaki Franciszek Gamrat, który przybył do Galicyi z Królestwa i zaczął tu odgrywać rolę jenialnego przedsiębiorcy. Polem działania Gamrata było przedtem Podole, Ukraina i Królestwo. Był on z fachu cukrowarem, zajmował stanowisko dyrektora fabryki cukru u hr. Adama Potockiego, następnie u p. Mańkowskiego, gdzie miał rocznego dochodu około 30.000 rs., wszystko to jednak było mu za mało.

Nakłonił więc pewnego bardzo zamożnego obywatela pana Chomentowskiego do założenia cukrowni w Zurynie i tak pięknie go wykierował, że wkrótce stracił na cukrowni cały swój milionowy majątek i zbankrutował. A dodać winniśmy, że działo się to w czasie, kiedy interes cukrowniczy był w rozkwicie i wszyscy na fabrykach takich w Królestwie, na Podolu i Ukrainie robili majątki. Powodem zaś bankructwa były szalone spekulacye, zbytkowne urządzenia i życie rozrzutne.

Sprawa ta stała się głośną, nasz rycerz przemysłu musiał więc dać drapaka, słyszał zapewne o tem, że u nas brak ludzi jenialnych i przybył do Lwowa uszczęśliwić biedny nasz kraj.

Tu w Galicyi zwąchał się ze znanym p. Tadeuszem Okszą Orzechowskim, również jenialnym człowiekiem, który należy także do owych zagadkowych egzystencyj, pojawiających się od czasu do czasu na horyzoncie lwowskim.

„Schöne Seelen finden sich“ — p. Oksza Orzechowski chwilowo dał za wygraną karyerze dyplomatycznej (był jakimś konsulem w Stambule) i po dłuższej konferencyi postanowili w dwójkę założyć we Lwowie „bank“ i stworzyć w nim dla siebie stanowisko dyrektorów i pole wyzysku. Znali zapewne dobrze teren galicyjski i wiedzieli, że wszędzie dobrze a u nas najlepiej jeszcze dla tych, którzy nie chcąc pracować, mają niepohamowaną chęć łowienia ryb w mętnej wodzie.

Pierwszą o f i a r ą, która bardzo łatwo dała się złapać na wędkę, był p. Józef Kruszewski,(!) obywatel emigrant, któremu rząd rosyjski skonfiskował majątek na Wołyniu, i który do r. 1876 mieszkał na wsi w Galicyi, żyjąc ze skromnej renty 1500 zł. W roku 1876 przyjechał p. Kruszewski do Lwowa i starał się o zajęcie. Dowiedział się tu, że w Krakowie założyć mają dom rolniczy hr. Bniński i Orzechowski, napisał więc do tego ostatniego, którego znał z r. 1863, czyby tam nie mógł dostać zajęcia.

Po pewnym czasie odpowiedział mu p. Orzechowski, że założenie domu rolniczego do skutku nie przyjdzie, że przyjedzie wkrótce do Lwowa i zaproponuje mu lepszy interes.

Z początkiem r. 1877 przybył też Orzechowski do Lwowa i przedstawił p. Kruszewskiemu Gamrata, który zwierzył się przed nim, że otwiera we Lwowie bank zastawniczy.

Gamrat przedstawił się jako człowiek bardzo bogaty, mający rozliczne stosunki i oświadczył, że zbierze na ten bank znaczne fundusze na Podolu i Ukrainie.

Po kilku tygodniach wrócił Gamrat z wycieczki i oświadczył, że przywiózł 20.000 zł. i przedłożył statuta zakładu zastawniczego.

Prowadzący wówczas kancelaryę notaryalną rejenta Jasińskiego p. Kuryłowicz, wypracował akt założenia zakładu i spółki pomiędzy Gamratem, Orzechowskim, Kruszewskim, niejakim Jotejką z Odessy, hr. Koziebrodzkim z Bukowiny, Poradowskim i kilku innymi.

Utworzyło się stowarzyszenie z ograniczoną poręką (do podwójnego udziału) a zakład miał pożyczać na zastawy i eskontować weksle. Dzięki wpływom i stosunkom uzyskano koncesye.

Zdeklarowanych udziałów było przeszło 30.000 złr., jak na zakład zastawniczy kwota bagatelna.

Łatwowierny (!) p. Kruszewski złożył zaraz gotówką 10.000 złr. Gamrat deklarował 10.000 złr. a złożył 5.000 złr. a kilku obywateli lwowskich złożyło również kilka tysięcy złr. — Orzechowski także deklarował kilka tysięcy złr., nie dał jednak ani centa. Przy zawiązaniu uchwalono, że dyrekcya składać się będzie z pięciu członków, wybrano na razie czterech pp. do dyrekcyi, a mianowicie pp. Gamrata, Orzechowskiego, Kruszewskiego i Jotejkę. Płatnymi dyrektorami zostali pp. Gamrat jako naczelny dyrektor z roczną pensyą 3.000 złr. a p. Kruszewski jako kasyer z pensyą 2.400.

Oprócz tego pobierać miał p. Gamrat tantjemy.

Buchalterem został p. M. Majewski, pełniący o b e c n i e tę funkcyę od roku 1885 w banku krajowym.(!)

Po krótkim czasie wyczerpał się fundusz zakładowy, a zakład istniał tylko osobistym kredytem z n a n e g o z u c z c i w o ś c i p. K r u s z e w s k i e g o. (!)

Długo jednak nie można było łatać kredytem. Trzeba było wymyśleć nowy środek zaradczy. A od czegoż był talent p. Gamrata?

Po trzechkwartalnej działalności otworzono nowy oddział.... wkładek na książeczki oszczędności.

Koncesyę azyskano z łatwością. Stało się to pomimo, że do końca roku 1878 nie było ani rady zawiadowczej, ani komisyi kontrolującej.

Zezwolono na wciągnięcie kapitału biedaków, którzy zawsze idą na lep oszustwu, zależy tylko osprytnego wystylizowania ogłoszenia i od wysokości stopy procentowej, jaką się przyrzeka łatwowiernym.

A wyznać musimy, że na lep można było pójść, skoro się zważy, że wiadomem było ogólnie, że najniższa stopa procentowa, na jaką w tym banku na *pewne* żastawy pożyczano, była 24%. Pomimo obowiązującej ustawy o lichwie pobierał ten koncesjonowany zakład taki procent od pożyczek na zastawy.

Wszystko szło więc w tym zakładzie najlepiej.

Panowie ci operować zaczęli 15. czerwca 1877 roku — interesa szły świetnie, pomimo to, wykazali z końcem roku 1878 stratę 3.391 złr. 42 ct. — czyli jak obliczono 6·27 procent w stosunku do wpłaconych udziałów.

Z bilansu za rok 1882, jedynego, jaki mamy do dyspozycyi przedstawia się rzecz następująco:

Do końca roku 1878 a więc za 18 i pół miesiąca udziały wypłacone (po 100 i 500 złr.) wynosiły 35.056 złr. i 62 ct. stosunek kapitału własnego do obcego 1:2·48, pożyczki na weksle i skrypta (246 sztuk) 116.249 złr. 30 ct., na zastawy (70.995 sztuk) 582.086 złr. 81 ct., weksle reeskontowane 3.500 złr., obligi własne 149.500 złr. a wkładki oszczędności po 3 kwartałach wynosiły już 158.001 złr. 09 ct.

Za ten czas wynosiły podatki 640 złr. 33 ct., czynsz za lokal 2093 złr. 94 ct., asekuracya zastawów 658 złr. 55 ct., koszta zarządu 19,383 złr. 04 ct., wypłacone na książeczki i za pożyczone kwoty odsetki 6804 złr. 44 ct. Natomiast pobrano w tym czasie lichwiarskie procenta za pożyczki na zastawy w kwocie 26.042 złr. 25 ct., czyli. że dochód brutto w stosunku do udziałów wpłaconych wynosił w 1878 roku 48·44 procent a jak z dalszych nowych wykazów wyniknie w 1879 roku 69.93 procent, w 1880 roku 95·66 procent, w 1881 roku 113·86 procent, w 1882 roku 129·1 procent — a w roku 1879 wykazał straty 7·46 procent, w roku 1880 zysku 9.64 procent, w roku 1881 zysku 20·92 procent, s w roku 1882 zysku 14·3 procent.

Odsetki pobrane przez ten zakład lichwiarski wynosiły do końca roku 1878 złr, 26.042, ct. 25 w roku 1879 złr. 24.416 ct. 40, w roku 1880 złr. 32.513 ct. 22, w roku 1881 złr. 28,749 ct. 70, w roku 1882 złr. 44.128 ct. a przypuszczając, że przez ostatnie 3 lata wynosił tylko tyle, ile w ostatnim roku bilansowym t. j. 1882 t. j. 3 razy po 44.128 złr. 30 ct, po obliczeniu pokaże się, że zakład ten od 15 czerwca 1876 roku do końca roku 1885 pobrał lichwiarskich procentów na zastawy w kwocie 298.277 złr., 77 ct., a oprócz tego roztrwonił z ł o ż o n e n a k s i ą ż e c z k i o s z c z ę d n o ś c i 100.000 złr.

I to wszystko działo się pod okiem przepisów.

W następnym artykule opowiem dalsze losy tego zakładu.“

Artykuł ten podaje rzeczywiście bardzo ciekawe szczegóły, rzucające jaskrawe światło na działalność rozmaitych Banków lwowskich, dających pieniądz na zastawy jeżeli nie szmat, to innych cenniejszych przedmiotów; a wyjąwszy z tych filantropijnych instytucyj finansowych jedyny „B a n k o r m i a ń s k i“, prowadzony zniepokalaną uczciwością, wszystkie inne mniej lub więcej są podobne do rozbójniczego „Szmatenbanku“, który Gamrat i wspólnicy jego kreowali.

Kto zna te sprawy bliżej, temu nie trudno będzie zwrócić uwagę swą, że przy bankructwach tego rodzaju instytucyj, aczkolwiek publicystyka nasza lwowska wyraża się wrzekomo z wielkiem oburzeniem, piętnując pewnych winowajców, to z drugiej strony wychodzą mimowoli szydła z worka, jakie się to czynią usiłowania, że gdy się wszelką winę składa n. p. na rabusia, który uciekł, czyni się wszystko, aby innych jego wspólników nie mniej winnych usunąć z pod ciekawego oka c. k. Prokuratoryi i Sądów karnych.

Tak się działo podczas upadku „Banku miejskiego“, „Kasy zaliczkowej lwowskiej“, „Banku włościańskiego.“ Oddawano na pastwę opinii publicznej tych, co byli mniej winni lub wszystko co pograbili, roztrwonili. Główni natomiast hersztowie którzy zdobycz swą umieli zabezpieczyć, tych umyto. uniewinniono i dziś chodzą wolni, czyhając tylko na najbliższą sposobność, aby dalej rozbijać.

Takiego samego arkanum używa się znowu w tej chwili, aby obmyć pewnych winowajców należących do rabunku latami praktykowanego na największych nędzarzach.

W krótkim czasie mamy przed sobą na stoliku redakcyjnym takie dwie obrony, z których pierwsza zakrawa nawet na apoteozę filantropa pana Rosnera, liweranta siana dla armii. A z takim widocznym celem występuje p. Frühling-Fryling, reporter „Kuryera lwowskiego“, idąc w takt z „Gazetą narodową“ i „Dziennikiem polskim, w których figuruje p. M a j e w s k i, buchalter „Schmatenbanku“ jako oskarzyciel, a nie winowajca.

P. Zygmut Fryhling-Fryling bierze znów w szczególną obronę p. Kruszewskiego, jednego z byłych „Grüuderów“ i dyrektorów tej nory rozbójniczej. Według p. Frühlinga p. Kruszewski był tylko o f i a r ą Gamrata i nic więcej.

Otóż my mamy tę cywilną odwagę zapytać się p. Kruszewskiego, czy tenże ustępując z Banku przed dwoma laty podobno, w samej rzeczy nie znał zbrodniczego postępowania, jakie tam było nieustannie na porządku dziennym? Czy wtenczas nie miał jako prawy obywatel obowiązku, zwrócić uwagę na to co się tam działo, czy nie wiedział, jaki będzie koniec i ile setek nędzarzy zostanie obrabowanych?

Przekonani jesteśmy, że od tych zarzutów trudno by się było tak p. Majewskiemu buchalterowi, jakoteż p. Kruszewskiemu dyrektorowi uniewinnić. Różnica pomiędzy mniejszością a większością winy może być tylko ta, czy ktoś więcej lub mniej korzystał z rabunku. Śmiemy stanowczo powątpiewać, aby którykolwiek z funkcyonaryuszów „Szmatenbanku“ nie działał tam wspólnie i nie robił na własną rękę geszeftów. Liczne akta procesowe, których przecież ślady w Sądach karnych znajdować się muszą, dostarczyć powinny sędziemu śledczemu obfitego materyału. My w żaden sposób tego zrozumieć nie możemy, aby zgłoszenie konkursu i dalsza procedura takiego zgłoszenia miały sprawę załatwić, gdy rzeczywiście rzecz idzie o całą dobrze zorganizowaną bandę złodziei, która tyle lat bezkarnie rozbijała. Tym razem jesteśmy przekonani, że c. k. Prokuratorya raczy szczególną uwagę zwrócić na pp. „Verwaltungsrathów“ recte radę zawiadowczą „Szmatenbanku“, a w której miała być nader czynną nawet jedna poważna osobistość duchowna. Niech c. k. Prokuratorya Państwa raczy przejrzeć roczniki „Strażnicy polskiej“ od sześciu lat, a tam znajdzie również cenny materyał; gdyż już wtenczas, gdy pewien przyjaciel z tych czasów wskutek zamieszczonego przez nas artykułu czynił nam wyrzuty, że napadamy oszczerstwem na ludzi tak zacnych rodów szlacheckich jak pp. Gamrat i Kruszewski, odpowiedzieliśmy bardzo wyraźnie, jak tę zacność pojmujemy, a pomimo to ani p. Gamrat, ani p. Kruszewski nie zaskarzyli nas za tak ciężką obrazę honoru, lecz otoczeni licznymi przyjaciółmi politycznymi i mając na usługi dziennikarstwo lwowskie, krzyczeli na cały głos o rewolwerowych naszych oszczerstwach, i napadach na „zacnych“ ludzi.

Donoszą nam ciekawy również fakcik. Oto gdy przed dwoma czy trzema tygodniami doniosły dzienniki, że za p. Gamratem wysłano listy gończe, następnego dnia po tych ogłoszeniach synowie p. Gamrata uważali za właściwe i godziwe wyprawić u siebie wieczór dla kolegów ze — staropolską gościnnością, urządzając takowy z wielkim komfortem i szykiem. Rzeczywiście, powinszowac im można wielkiej cywilnej odwagi.

KORESPONDENCYE.

Wiedeń dnia 21. Stycznia.

W stolicy państwa austryackiego, gdzie obok Niemców znajdujemy przedstawicieli wszystkich niemal słowiańskich ludów, najlepiej okazuje się słuszność Waszych wyrzekań na apatyę młodzieży polskiej. Kiedy wszystkie inne stowarzyszenia słowiańskie usiłują zbliżyć się do siebie i przy serdecznem zainteresowaniu się wszystkich swoich członków zmierzają do urzeczywistnienia swoich celów, „Ognisko“ polskie, zaliczając do grona swoich członków zaledwie część i to uboższą polskich słuchaczów wiedeńskiej wszechnicy, przy najlepszych chęciach nielicznych, poszczególnych członków, jedynie ich prywatnemu staraniu zawdzięcza smutną egzystencyę z dnia na dzień. Nie chcę przez to powiedzieć, aby „Ognisko“ upaść miało, owszem, jestem przekonany, że lokal tego towarzystwa długo będzie utrzymywany, a do archiwum wpłynie niejedno drukowane sprawozdanie, w którem mniejsze lub większe cyfry sprawozdania kasowego świadczyć będą o względnie dobrym stanie „materyalnym“ towarzystwa. Ale większe, wznioślejsze cele, wzniosłe idee założycieli, szczere pragnienie serc gorętszych, wątpię bardzo, czy w kilku pustych pokojach znajdą

wdzięczne echa. Dotykam pulsów tego ciała, które zdaje się być żywe i znajduję symptoma śmierci Nawet przyjaźne okrzyki i wyrazy hołdu Bułgarów, Kroatów, Czechów, które niedawno w szczerych słowach gorącego pietyzmu dla naszych cierpień składano nielicznej delegacyi polskiej na zebraniu Kroatów, nie są zdolne wywołać głębszego zastanowienia się nad własnem położeniem i wyrwania z bolesnego zastoju.

Czemu lecisz w przepaść, gdy napotykasz po drodze silne drzewa żywotnej siły narodu i prawdziwego, niekłamanego patryotyzmu? Wszakże gdy patrzysz w przepaść, gorżką łzą skarzy się oko tych, co padli ofiarą „utylitaryzmu". Zdrajcy wołają, że narodowość głupstwem, że lepiej pracować dla większej idei, która obejmuje wszystkie ludy pewnego szczepu, lub wszystkie narody ziemi, a więc całą ludzkość, ale zapytaj takiego mędrca: jakim językiem przeklina samego siebie, gdy po stromych i śliskich drogach takich teoryi do zguby dojdzie — czy nie czyni to w rodzinnym języku i gdy już całkiem przepada, czyż nie radby złożyć głowy na ojczystej ziemi, czy wreszcie skarby nawet zdobywszy, nie szuka chętniej współziomków, jak bogatych obcokrajowców?

Ludzkość osiągnąć może cel swój tylko za pomocą narodowości, posiadających odrębne swoje właściwości, odrębne cele, które jeżeli mają być połączone, to tylko węzłem miłości, a nigdy siłą. Gdy jakaś narodowość raz okazała duchową swoją siłę — nie może marnie zaginąć i niech z chwilowej konstelacyi politycznej wprowadza ktoś milion razy bardzo zręcznie ułożone wnioski, że nie mamy racyi do politycznego bytu, ja jednak wierzę w przyszłość, byleby duch w nas był większy i potężniejszy, byleby „żywa wiara" była bodźcem do wielkich i chwalebnych czynów Drzewo nie przestanie być drzewem, a kamień zachowa własność kamienia, choć go kto inaczej nazwie. I woda również zawsze wodą będzie, a ogień przez wieki niezliczone zachowa swoje ciepłe i ożywcze promienie.

Prawda, że drzewo może skamienieć, a kamień w proch się rozsypać, ale dopiero wówczas gdy rozkład następuje pod naciskiem wpływów zewnętrznych. Na szczęście działają takie wpływy na jednostki, na pojedyncze warstwy narodu, ale nigdy na cały naród. Znajdą się zawsze serca, które znicz miłości Ojczyzny do najodleglejszych przeniosą pokoleń, a gdyby nieszczęsnym trafem i takich szlachetnych serc brakło, na cmentarzach groby przodków wywołują ten głos tajemny, który nie daj Boże, aby pod wstrętną powłoką kosmopolityzmu i utylitaryzmu miał się kiedyś ukrywać.

Praca organiczna może błogosławione przynieść rezultaty, ale tylko pod tym warunkiem, że duch narodu, myśl większa, myśl wznioślejsza będzie ją ożywiać. Nie będzie zaś to wcale sprzeciwiać się obowiązkom państwa, do którego należymy, bo tu o wewnętrzną zawartość serca chodzi, a ta usuwa się od wszelkiej kontroli władz i nie podpada pod żadne przepisy.

Jeżeli można w ogóle mówić o oziębieniu uczuć polskiej młodzieży, to obok niewiary, która na młode serca najzgubniej wpływa, oddziaływa też na każdoczesne usposobienie i ów stosunek w jakim przyszłość osobista zawisła od zachowania się w młodym wieku. Otóż gdy kto kamieniem na młodzież zbyt chętnie rzuca, niech patrzy na szeregi mężów dojrzałych, a bezbarwnych „nijakich". Niech mi wolno będzie przypomnieć, że gdy Rząd nasz wcale nie ma za złe Czechowi, że należy do czeskiego towarzystwa narodowego-politycznego, Niemcowi, gdy do niemieckiego, a Rusinowi, gdy do ruskiego należy, nasi polscy mężowie stanu do tego doprowadzili, że polscy urzędnicy gorzej są pod tym względem traktowani jak oficerowie w czynnej będący służbie. W tem leży przyczyna bardzo niechętnego zajmowania się życiem publicznem, a w dalszem następstwie owego kosmopolitycznego zakroju, który właśnie u sfer inteligentnych nader wybitnie występować zaczyna. Oddziaływa to najzgubniej na całe otoczenie, a szczególnie na młodzież która w t. zw karyerze widzi nieraz najdroższe swe cele, wskazane nieoględną ręką najbliższych osób.

Jeżeli więc obecne usposobienie polskiej młodzieży nie może szczególną przejmować radością i otuchą, pamiętajmy, że młodzież jest zwierciadłem społeczeństwa i że ciężka odpowiedzialność ciąży na tych „bladych, mizernych, nijakich", którzy za misę soczewicy sprzedają przyszłość swoich najdroższych.

Chociaż jednak chmurami przysłonięte niebo, z poza tych chmur widać słoneczne blaski — bo droga ciężkich prób wiedzie do chwały i wolności, a te przykre rzeczy, które tu przez chwilę omawialiśmy, są to także jedynie przykre doświadczenia i z wiarą wyrzec możemy, że osiągną one swój skutek: „oczyszczą serca i podniosą ducha".

Epilog Wyborczy.

(Sprawozdanie stronnictwa narodowo-demokratycznego polskiego).

Szanowni czytelnicy „Strażnicy polskiej", zamieszkali na zewnątrz Lwowa raczą wybaczyć, że dziś poświęcamy więcej miejsca dla sprawy wyborów do Rady miasta Lwowa, które się odbyły na dniu 25. b. m. Piszemy obszerniej z tego powodu, że wybory te przedstawią ciekawą charakterystykę naszych stosunków społecznych w stolicy kraju. Dowiemy się, jak też to wygląda rzeczywiście ten duch narodowy i na jakie on wchodzi drogi, a to w gruncie jest może rzeczą najważniejszą, aby cały kraj znał prawdę. Z innnych dzienników obywatele kraju nie dowiedzą się prawdy, jeżeli zechcą uwzględnić, kto to stoi na czele redakcyj naszych Timesów nadpełtwiańskich. Dziś chcąc zostać redaktorem jakiego dziennika politycznego, potrzeba mieć szczególnego rodzaju kwalifikacyę moralną, a mianowicie być chociaż notaryuszem i tak się zawikłać w sprawach urzędowych, że dalsze operacye bez smutnych następstw dostania się do „Iwanowej chaty" za więcej jak śmiałe wyzyskiwanie chłopów — stają się wprost niemożebne. Taka kwalifikacya uprawnia jednak do objęcia kierownictwa organu publicznego.

Drugi znowu był n. p. bardzo znakomitym światłodawcą i zaliczał się nawet do powag narodowych w kraju, lecz moralność i uczciwość, jaka się pod jego dyrektoryatem szerzyła, oddziaływała tak na młodzież, powierzoną jego pieczy, że go jak się to mówi po lwowsku — napędzono.

Inny znowu szef-redaktor, po rozmaitych bojowaniach polityczno-społecznych zeszedł na stworzenie, umiejące jedynie chodzić w kieracie redakcyjnym, pozbawione prawie własnej woli i siły odpornej, po prostu na konia żydowsko-pachciarskiego, wożącego mleko.

Nakoniec bywali redaktorami sławni „trybuni", ale gdy ich przewracanie koziołków politycznych zupełnie zawiodło, i stali się niemożebni na pierwotnej ich arenie, zebrawszy ruchome ruchomości, wynieśli się w inne strony próbować szczęścia; ale cóż z tego, jeżeli i tam rwą im się ostatnie węzełki wiary, a ich „trybuństwo" zaczyna już ostatecznie blednąć.

Wobec tak smutnego stanu publicystyki naszej zebrało się grono ludzi dobrej woli, którzy w danych chwilach postanowili przynajmniej tak działać, aby kraj poznał prawdę.

Stronnictwo narodowo-demokratyczne polskie nie jest wprawdzie „towarzystwem", bo nie posiada ani drukowanych ani pisanych statutów, nie spiskuje, nie składa przysiąg, nie odbywa nawet regularnych posiedzeń, ale łączy się tylko duchem i wzajemną wymianą myśli, przekonań i dążności. W łańcuchu tym bratnim nie idzie mu o ilość, ale o jakość ogniw, przedewszystkiem aby ręce miał każdy nawet bez umycia czyste. Oto zadanie stronnictwa narodowo-demokratycznego, które da Bóg odda może lepsze przysługi krajowi, aniżeli wszelkie dotychczasowe pomysły.

Organem tego stronnictwa jest *Strażnica polska*, z którą się inne stronnictwa będą musiały coraz więcej liczyć, a możemy tego złożyć dowody że się już liczą.

A teraz przystąpmy do szczegółów akcyi wyborczej.

Stronnictwo Narodowo-demokratyczne polskie dowiedziawszy się na pewnika, że znana klika w kraju stańczykowska usiłuje umaczać ręce w sprawie wyborów do Rady miasta we Lwowie i aby dojść do tego, uznała wszelkie środki za dobre, — Stronnictwo Narodowo-demokratyczne polskie postanowiło temu przeszkodzić, odkrywając cały plan i aktorów. Że mu się to udało, dowiódł fakt, który od początku ery autonomicznej i wyborów do Rady miasta Lwowa nie miał równego sobie. Zapytujemy: czy się praktykowało kiedykolwiek, aby przedwyborcze walne zgromadzenia w sali ratuszowej kończyły się na jednem posiedzeniu i w niespełna jednej godzinie?

A jednak tak się stało. Sala ratuszowa była na dniu 17. Stycznia b. r. przepełniona i to przeważnie inteligencyą. Na przewodniczącego zgromadzeniu wybrany został dr. Bronisław Radziszewski, profesor uniwersytetu. Dr. Żegota Krówczyński dał sprawozdanie z posiedzeń, omawiających wybory w szkole realnej, do których to zebrań dali inicyatywę główną wydelegowani przez stronnictwo stańczyków i tam na ustroniu ułożono komitet obszerniejszy ze 150 wyborców.

Po dr. Krówczyńskim wszedł na trybunę Gniewosz, redaktor *Strażnicy polskiej*, a nie zawahawszy się ani chwili, odkrył we wszelkich szczegółach plan znanej kliki. I o cudo! — Tym razem podczas blisko półgodzinnego przemówienia ani nie drwiono z mówcy, ani się nie śmiano, ani sykano. Nikt nie przerwał mu ani jednem słowem, a tylko od czasu do czasu przerywano krótkimi grzmotami oklasków. W silnie zastąpionej klice panowało podobno wielkie zaniepokojenie, lecz i ci menerzy nie odważyli się objawić swego niezadowolenia. Gniewosz skończył mówić, grzmot oklasków towarzyszył mu z trybuny.

Wiadomo było powszechnie, że jeszcze miało zabrać głos pięciu mówców, a to przeważnie ajentów kliki, drów praw, profesorów i innych znakomitości. Nie zapisał się jednak ani jeden do głosu i na tem skończyło się pierwsze i ostatnie zebranie przedwyborcze; a gdy wyborcy opuszczali salę, nie wahali się głośno mówić, że redaktor *Strażnicy polsk.*, „zapieczętował" klikę stańczykowską i uniemożebnił jej wprost dalsze działanie.

Dzienniki lwowskie zamilczały o tych faktach, a usiłowały jedynie, a i to bardzo nieśmiało ośmieszyć pewien ustęp, gdy mówca przepowiadał, że kubany czyli banknoty będą latały jak wróble po ulicach Lwowa, co też rzeczywiście tak było.

To był pierwszy akt przedwyborczy.

Następnie zebrał się komitet obszerny 150 wyborców i wybrał 30 mężów zaufania, tworzących komitet ściślejszy. Po ogłoszeniu tegoż na t. zw. „różowej liscie" pokazało się, że klika stańczykowska połączywszy się z inną kliką o charakterze specyalnych własnych interesów, częściowo zwyciężyła. Oburzenie było wielkie w całem mieście i jawne, mowione głośno i wszędzie, że brakuje tylko dwóch kategoryj, a reprezentowanych chociażby tylko przez jednostki, a możnaby wtenczas śmiało powiedzieć: „Mein Liebchen, was willst du noch mehr?"

Ten ściślejszy komitet miał przedstawić 100 kandydatów na członków Rady m., a rozpoczął działalność od tego, iż z pomiędzy własnego grona wybrał 28 kandydatów, obok których zgromadzono swoich przyjaciół politycznych. Z tej trzydziestki wybrano znowu 12, a ci dopiero ułożyli listę wyborczą.

Zwołano znowu komitet obszerniejszy do ratusza, ale tylko na to, aby każdy ze 150 wziąwszy do rąk listę proponującą 100 radnych, włożył ją następnie w ręce skrutatorów.

Słuszna opozycya zażądała głosu i zaprotestowała przeciw takiemu absolutnemu postepowaniu. Natomiast zażądała, aby obszerniejszemu komitetowi dano przynajmniej do następnego dnia do południa czas, aby się mógł zastanowić, kogo pozostawić na liście, a kogo wykreślić. Ale to było straszne niebezpieczeństwo dla kliki, więc się też tak opierano temu żądaniu, że zezwolono zaledwie na kwandrans przerwy posiedzenia, aby się obszerniejszy komitet mógł porozumieć. Taka delata była po prostu drwinami z obszerniejszego komitetu, wskutek czego 60 członków tegoż wyszło z sali, a pozostało 90. Z tych złożyło listy w ręce skrutatorów 60, bez najmniejszej zmiany, a 30 z poprawkami. Naturalnie ci ostatni zostali przegłosowani, a klika odniosła znowu drugie zwycięstwo.

Nadmienić jeszcze musimy, że na początku zebrania posypały się bardzo ciekawe interpelacye a mianowicie, że pewni kandydaci, którzy chcieli być przyjęci na listę wyborczą, zmuszeni byli składać co najmniej po 100 złr. Rozpoczęła się bardzo drażliwa dyskusya, lecz zdołano ją zręcznie i jak najprędzej przytłumić, co się też najzupełniej udało.

Musimy tu jeszcze i to orzec, że nikt nie podejrzywał uczciwych zamiarów całej trzydziestki ściślejszego komitetu, bo było tam i poważne grono zacnych mężów, ludzi bez zaprzeczenia prawych, ale ci nie mieli odwagi stawienia stanowczo czoła, chociaż w mniejszości zorganizowanym ajentom kliki, poopuszczali ręce i dozwolili tejże wziąć górę. Delegaci kliki widzieli już wprawdzie wtenczas, że pierwotne plany, a publikowane przez redaktora *Strażnicy* w sali ratuszowej, nie mogą być już przeprowadzone, zależało jednakowoż na tem wielce, aby do przyszłej Rady miasta przeszwarcować chociaż kilku ajentów kliki, a tak samo nie dopuścić kilku najniebezpieczniejszych dla kliki obywateli. Do tego rzędu zaliczali oni mianowicie trzech kandydatów, jakoto: Dra Gryzieckiego, prof. uniwersytetu, dra Józefa Żulińskiego, profesora, a przedewszystkiem dra Karola Lewakowskiego, delegata do Rady państwa z miasta Lwowa Ten obywatel zapisany jest na liście kliki i policzony do proskrybowanych jako najniebezpieczniejszy wobec jej celów, tak samo, jak drugi delegat do Rady państwa i poseł na Sejm kraj. ks. Adam Kopyciński.

Zapewne jest jeszcze w żywej pamięci każdemu obywatelowi nietylko Lwowa i kraju, co

klika czyniła, aby dr. Karol Lewakowski nie był wybrany Rady państwa. Obywatelom lwowskim zaś jeszcze więcej powinno być pamiętnem, bo w świeżej pamięci, jak ten a nie inny delegat tak gorliwie stawał w obronie przemysłu krajowego, i bojował, aby zdobyć pracę i zarobek dla naszych rękodzielników. Jakichże więc argumentów musieli używać ajenci kliki stańczykowskiej, w ściślejszym komitecie przedwyborczym, że nietylko pp. Gryzieckiego i Żulińskiego, ale nawet dra Karola Lewakowskiego nie wpisano na listę kandydatów do Rady miasta. Jak to się stać mogło, że ani jeden mieszczanin rękodzielnik lub przemysłowiec lwowski, nie miał odwagi podnieść tych kandydatur, a chociażby tylko ostatniej, gdy wiedział o tem, o ile przez usunięcie ich honor miasta jest narażony?

Musiały to być **silne argumenta**, które spowodowały taką niemnotę u naszych mieszczan, rękodzielników i przemysłowców, a członków komitetu ściślejszego. Jakiej zaś wartości moralnej a pożytecznej dla dobra miasta wprowadzono innych kandydatów, o tem się z listy wyborczej każdy przekonać może. Gdyby żadnych innych zarzutów nie można czynić komitetowi ściślejszemu, to ten jeden wystarcza, aby każdy wyborca miał prawo do dośpiewania sobie całej piosnki.

Sojusz i pacta conventa, zawarte przez delegatów mieszczańskich do komitetu ściślejszego z ajentami kliki (przed czem *Strażnica polska* usilnie ostrzegała), stały się nader silną podstawą do przeprowadzenia całości wyborów.

Stronnictwo Narodowo-demokratyczne polskie mając własną a czujną policyę do dyspozycyi, było rzeczywiście rychło zawiadomione o tem co się dzieje; a aby zapobiedz złemu i aby stolica kraju nie była narażoną słusznie na urągowisko, postanowiło uczynić jedyny krok, któryby uczynił sojusznikom nie tak łatwe zwycięstwo, a przynajmniej popsuć mu szyki.

Doszło wprawdzie do wiadomości stronnictwa Nar.-dem. polsk., że t. zw. „Puchacze“ przekonawszy się, że pod tym znakiem nie mogą mieć najmniejszego powodzenia, wyciągnęli na nowo stary sztandar „Łączności i Zgody“, — aczkolwiek poprzednio przez nich samych zbrukany. To też gdy w stron. Nar.-dem. polskiem podniesiono głos, czyby się nie należało połączyć z „Łącznością i Zgodą“, przekonano się na szczęście rychło, że z tego rodzaju stekiem więcej jak mętnej wody nie można mieć nic wspólnego.

O stanowczem zwycięztwie stron. Nar.-dem. polskie nie myślało ani chwili, gdyż mu zanadto dobrze było wiadomem, że wobec korrupcyi zaszczepionej we Lwowie, oraz kołowacizny pojęć politycznych, ten tylko może wyjść na powierzchnię, kto ma dobrze naładowany worek, i mnóstwo ajentów jawnych i tajnych, złączonych solidarnie wskutek kilkunastoletnich poprzednich praktyk wyborczych. Bez tych argumentów i czynników nikt tu zwycięstwa nie odniesie.

Gdy stron. Nar. dem. polskie mogło ostatecznie dysponować dla pokrycia najniezbędniejszych wydatków, jako to: na druki, kolportowanie tychże i plakatowanie, to komitety „miejski“ i „Łączności i Zgody“ dysponowały **tysiącami**. A tylko takie stronnictwa znajdują posłuch i trafiają do przekonania.

Komitet miejski i „Łączność i Zgoda“ miały już swe listy wyrukowane wcześnie, jak tylko ukończyły pertraktacye wzajemnych interesów i brzęczące z różnymi **silnymi** klientami; ale przeczuwając, że może być źle i szyki mogą się połamać, czekano na zapowiedzianą listę stron. Nar. dem. polskiego. I ono też pierwsze listę swą wprowadziło na jaw areny wyborczej.

I cóż się stało? — Oto „Łączność i Zgoda“ która już miała przygotowanych 24.000 egzemplarzy list wyborczych, przeczytawszy, przejrzawszy naszą, widziała niezawodną porażkę, jeżeli swoją listę wyda na widok publiczny. List tych krążyła już jednak pewna ilość po Lwowie, a z którego to wydawnictwa z pierwszej edycyi posiada nasza redakcya kilka egzemplarzy, świadczących bardzo wyraźnie o moralności społecznej i politycznej jej autorów, a przewódzców „puchaczowej“ „Łączności i Zgody“.

Z tego powodu musimy na chwilkę zboczyć od dalszego ciągu naszego sprawozdania.

Już od kilku tygodni „Puchacze“ przemienieni znowu w „Łączność i Zgodę“ odbywali posiedzenia w Rynku pod Nr. 30. i na walnych publicznych zebraniach tamże, wielcy „Puchacze“ jak np. znany filantrop, obrońca zwierząt, a więc cóż dopiero ludzi, piorunował z trybuny, piętnując w niedobieranych wyrazach redaktora *Strażnicy pol.* (sekretarza stron. Nar. dem. polskiego), szafując nawet nazwiskami i cyframi, że tenże pobrawszy kubany powprowadzał na listę stron. Nar. dem p. nawet takie osobistości, które przedtem w stałych rubrykach o „Schweiggeldy“ napadał. I na tem tle rozwodził się dalej filantrop Katon o moralności redakcyi *Strażnicy pol.*

Jakież było jednakowoż zdziwienie wyborców lwowskich, gdy ujrzały światło dzienne obydwie listy, że na tej, którą wydało stronnictwo Narodowo-demokratyczne polskie, nie było ani jednej z tych osławionych osobistości; ale znalazły się na liście „Łączności i Zgody“, której głównymi twórcami byli p. Dr. Teofil **Ciesielski**, prof uniwersytetu lwowskiego i p. **Lewandowski**, urzędnik Tabuli krajowej i sekretarz Towarzystwa ochrony zwierząt.

Szanowni panowie Katoni polityczni i społeczni! — Raczcie łaskawie odpowiedzieć, co jest rzeczywiście prawdą, jeżeli chociażby tylko pp. Michał **Sawicki**, exnotaryusz, redaktor *Dziennika polskiego* i Dr. Filip **Zucker**, o których przyjęciu na listę stron. Narodowo-demokratycznego polskiego publicznie poręczał p. Lewandowski i wskazywał na całą ohydę takiego postępowania — znaleźli się następnie na liście „Łączności i Zgody?“ — Czy to przyjęcie nastąpiło z powodów filantropijnych, czy też z innych, realniejszych pobudek?

„Puchacze“ przekonali się jednak, że się daleko zagalopowali ze swoją katońską moralnością, bo przedewszystkiem wyrzucili mnóstwo pierwotnych kandydatów ze swej listy pierwszej edycyi, a okrasili ją kandydatami z listy stronnictwa Narodowo-demokr. polsk. Przy drugiem wydawnictwie można się było przekonać, że znikł z szeregu kandydatów p. Michał Sawicki, redaktor *Dziennika polsk.*, jako niemożebny zupełnie i kompromitujący moralność „Puchaczy“, a dalej p. Dra Błażejowskiego, adwokata, schowano z pod litery **B** aż pod literę **R**.

Nie wolno i o tem zapomnieć, że gdy pp. Dr. Ciesielski, Lewandowski i inni sztabowi „Puchacze“ piętnowali znowu innych kandydatów, jako ludzi bez czci i wiary, a umieszczonych na listach komitetu miejskiego i stronnictwa Narodowo-demokratycznego polskiego, ci wszyscy znaleźli się znowu w komplecie w trzeciej edycyi listy „Łączności i Zgody“.

No, jakże się to stać mogło panowie „Puchacze, Katoni? W jaki sposób można było w tak krótkim czasie czarnych szatanów przemienić na bieluteńkich jak śnieg aniołów, którzy godni są poparcia „Łączności i Zgody?“ — Otóż musimy wierzyć, co sobie naród mówi, że „Puchacze“ sprowadzili sobie jakiegoś cudotwórcę rabina, który tak sprośnych i czarnych grzeszników obmył od razu na biało.

Szacherka przedwyborcza rozpoczęła się na całej linii. Przedewszystkiem zdumiewającą była praktyczność kandydatów do Rady miasta, a naszych braci mojżeszowego wyznania, którym tym razem chodziło głównie o to, aby wprowadzić do Rady kilka nowych potęg swojego wyznania i liczbę izraelitów podnieść w Radzie do 20. Aby ten cel osiągnąć, postanowili wyrzucić z Rady trzech izraelitów, a którzy znani są powszechnie ze swej spokojności i nader taktownego zachowania się.

Aczkolwiek pp. Izraelici przyrzekli najsolenniej iść tylko z komitetem miejskim, zajęli jednakowoż bardzo silną pozycyę w popieraniu stronnictwa „Łączności i Zgody“. Co się zaś tyczy stronnictwa Nar.-dem. polskiego, przeciw temu postanowiono walczyć pokryjomu, dla tego, że tylko umieściło na swej liście **16** kandydatów Izraelitów na członków Rady. Faktem jest, że **wpisowe** na listę „Łączności i Zgody“ kosztowało bardzo grubo każdego kandydata, ale też prawie żadnemu śmiertelnikowi nie odmówiono poparcia bez względu nawet na osławianie poprzednie jego moralności, byle tylko mógł naznaczone „obolusy“ złożyć.

Nadzwyczaj sprytnie i szlachetnie wzięła się „Łączność i Zgoda“, a podobno i inne komitety do ubezwładnienia agitacyi stronnictwa Nar.-dem. polskiego. Zorganizowano w tym celu osobną policyę z brzęczącą monetą w kieszeni, wskutek czego zaledwie $^1/_4$ część list, odezw i plakatów doszła do rąk wyborców, a reszta była wykupioną od kolporterów i zniszczoną. Gdyby się „Puchacze“ z „Łączności i Zgody“ zapierali tego czynu, to możemy im udowodnić świadkami.

Oto przyczyna, dla czego tak mało list tego stronnictwa weszło do urn wyborczych.

Kto ma tysiące do dyspozycyi i może niemi rzucać jak plewami, ten przynajmniej obecnie we Lwowie może być zawsze pewien zwycięstwa dzięki propagandzie szerzenia moralności przez dzienniki lwowskie.

Jaki zasiew — taki plon.

Stronnictwo Narodowo-dem. polskie odniosło jednak wielkie zwycięstwo, bo wszyscy inni inicyatorzy list wyborczych, (których mamy cały zbiór przed sobą) zmuszeni byli listy swe przerabiać na nowo i chcąc nie chcąc **oczyszczać je z zanadto cuchnącego błota**. Nawet komitet miejski, chociaż się do tego jawnie nie przyznaje, wydał drugą listę z **herbem miasta**. I w rzeczy samej, gdyby z tej listy miano odwagę wyrzucić jeszcze chociaż kilka kandydatów, a znanych ajentów kliki, gdyby nie opuszczono Dra Żulińskiego, a szczególniej Dra Karola **Lewakowskiego** i nie przeszwarcowano kilku nowych kandydatów, których nazwiska pod żadnym warunkiem nie powinny były na liście wyborczej się znajdować, lista ta byłaby w istocie najlepszą, a nawet odpowiedniejszą może, do czego się przyznajemy, od naszej listy stronnictwa Nar. dem. polskiego. Przy układaniu tejże dopuszczono się jednakowoż lekkomyślności, która od członków obywatelskiego komitetu wyborczego wyjść nie powinna. Była to lista tak nazwana „poprawna“, na której na końcu wstawiono nazwisko Dra Zyblikiewicza Mikołaja, marszałka krajowego; a przecież wiedziano o tem dobrze, że marszałek krajowy nie może być członkiem Rady miasta i że w takim razie może ktoś nie być przyjacielem politycznym Dra Mikołaja Zyblikiewicza, lecz winien uszanować najwyższy w kraju urząd obywatelski — marszałka krajowego.

Lista ta wyda niestety szkodliwe owoce dla przyszłej Rady miasta, bo już dziś przewidzieć można, że będzie nurtowała klika, o czem się niezadługo będą mieli wyborcy sposobność przekonać. Wybory te otwierają na nowo drogę po sześciu latach żywiołowi bankierów lwowskich, którzy połączeni z delegatami stańczyków, utorują im przez trzechlecie szerszy gościniec do przyszłego zwycięstwa. A to upoważnia stronnictwo Nar. dem. polskie do wypowiedzenia, że w prawdziwe narodowe poczucie mieszczaństwa naszego, a nawet jego wybrańców lub uzurpujących sobie to miano, nie można wierzyć, bo osobiste interesa i służalstwo za tę cenę stało się podczas tej akcyi wyborczej zanadto widoczne. Niech jednak nie myślą ci, którzy się przyczynili do złego, że już odnieśli zwycięstwo, bo stronnictwo Nar. dem. będzie czuwać nad ich działalnością z podwójnie natężoną uwagą. A jeżeli się znalazło 65 obywateli niezależnych w całem tego słowa znaczeniu, których nic nie mogło powstrzymać od głosowania w imię idei swego stronnictwa, to jest nadzieja, iż ta szczupła legia się powiększy i stanie się tak silną, że przeszkodzi niejednemu handelkowi, który nie licuje z moralnośccią narodową. Tyle na dzisiaj.

---

†

S. p. Aleksander Szyszyłowicz.

zmarł w Krakowie 24. b. m. w 66. roku życia.

I oto znowu zstąpił do grobu dobrze zasłużony syn i żołnierz Ojczyznie polskiej.

Ś. p. Aleksander urodził się r. 1820 w Wierzbołowie, w Królestwie polskiem. Gdy już kończył gimnazyum, należąc do grona patryotycznego młodzieży, zmuszony był uciekać za granicę, gdyż wskutek donosu miał być uwięzionym w cytadeli, a następnie jak inni jego koledzy wysłany w Sybir. Było to o ile pomnimy 1840 czy 1841 roku. Przybywszy do Prus Zachodnich oddał się pilnie nauce, a potem uczęszczał na uniwersytet w Królewcu, gdzie nader prędko w gronie młodzieży polskiej uzyskał ogólny szacunek. Gdy centralizacya paryska Towarzystwa demokatycznego zawiązała organizacyę powstańczą, Aleksander Szyszyłowicz był jednym z pierwszych studentów uniwersytetu królewieckiego, który do tej organizacyi przyjęty został; a później wciągnąwszy Erazma Niesiołowskiego, przygotowywali nietylko studentów królewieckich ale w ogóle Polaków do ruchu powstańczego. W r. 1845 Erazm Niesiołowski pozostał na stanowisku w Królewcu, działając podług wskazówek Röhra i Ruprechta, którzy kierowali organizacyą powstańczą w Prusach zachodnich i na Litwie, a Aleksander Szyszyłowicz zaczął jako emisaryusz działać na obszarze Prus zachodnich, gdzie w dogodnym domu obywatelskim figurował jako guwerner.

Gdy w r. 1846 sprzysiężenie zostało wykryte, Aleksander Szyszyłowicz został aresztowany wraz z wielu innymi i uwięziony w Grudziądzu. Później wywieziono go do więzienia w Sonnenburgu pod Kistrzynem, a stamtąd po ukończonem śledztwie przeniesiono go do Mohabitu pod Berlinem jako kwalifikującego się do wielkiego publicznego procesu o zdradę stanu. — Szyszyłowicz był zanadto skompromitowany, aby się mógł zapierać, że nie

brał udziału w organizacyi powstańczej. Nie zapierał się też ani chwili, lecz najsprytniejsi inkwizytorowie, a nawet osławiony dyrektor policyi berlińskiej Dunker, na którego samo wspomnienie lub widok nie jeden więzień stanu drżał, nie mogli z Szyszyłowicza nic wydobyć. Nie pomogły konfrontacye z mniej silnymi duchem towarzyszami niedoli, nikogo ani słowem nie skompromitował, a cały ciężar następstw brał na siebie.

Podczas akcyi tego olbrzymiego procesu o zdradę stanu w r. 1847, stanęło przed trybunałem Kammergerichtu w Moabicie z pomiędzy 254 oskarżonych trzech więźniów stanu. Na sądach tych byli obecni wszyscy oskarżeni, mnóstwo publiczności, a loże na galeryach zapełnione ambasadorami i dyplomatami prawie wszystkich krajów Europy.

Ci trzej, byli to t. zw. „Koroniarze“ Aleksander Szyszyłowicz, Waleszyński i Chachulski. Najstarszy pomiędzy nimi był ś. p. Aleksander. Obrońca oskarżonych prosił trybunału, aby zapytał Szyszyłowicza, w jakich granicach myślał tenże o oswobodzeniu Polski, i że tenże działał tylko przeciw Rossyi, a tak samo jego dwaj koledzy. Aleksander odpowiedział najwyraźniej i stanowczo, że on pojmuje Polskę tylko w granicach przedrozbiorowych z r. 1772 i nad takiem też oswobodzeniem o ile mu sił starczyło pracował. Tak samo oświadczyło się i dwóch jego kolegów, wyrażając nawet w drastyczny sposób swoje zapatrywania. Wszelkich dalszych odpowiedzi odmówili, wskutek czego przy ogłaszaniu wyroku dnia 2. Grudnia 1847 r. skazany został każdy na 25 lat fortecy (do roboty przy taczkach).

Rewolucya berlińska w r. 1848, uwolniła wszystkich więźniów stanu dnia 21. Marca. Szyszyłowicz, Waleszyński i Chachulski byli pierwsi, którzy z Berlina przybyli do Poznania, a lud uwieńczył ich na wstępie do miasta i z niedającym się określić entuzjazmem zaprowadził tryumfalnie do ratusza, gdzie zasiadał komitet, czyli rząd narodowy.

Chachulski i Waleszyński udali się bezzwłocznie na Kujawy, aby tam poruszyć organizacyę zbrojną. Aleksander Szyszyłowicz był zaś jednym z pierszych, który aczkolwiek w Berlinie wstąpił do szeregu t. zw. szkoły podchorążych, zapisał się do pierwszego batalionu kosynierów, pod dowództwem majora Wronieckiego, oficera z czasów napoleońskich.

Nie zaszkodzi wspomnieć, że do kosynierów wstępowali na podoficerów i oficerów najdzielniejsi i najodważniejsi ludzie.

Aleksander Szyszyłowicz tak ukochał kosynierską wiarę, że w obozie na chwilę się z nią nie rozłączał. Spał wraz z kosynierami na słomie lub na gołej ziemi, a jadał tylko z nimi z kotła. Wiarusy wielkopolscy ukochali go też całą duszą, a p. kapral miał taki mir nieomal, jak sam komendant batalionu.

Dnia 30. Kwietnia podczas bitwy pod Miłosławiem batalion kosynierów Wronieckiego miał nader trudną i niebezpieczną pozycyę, a taki grad kul sypał się na batalion Wronieckiego, i takie w nim szarpał luki, że komendat kazał się kosynierom pokłaść na ziemię. Ale nie skorzystał z tego rozkazu żaden z oficerów i skrzydłowy kapral Aleksander Szyszyłowicz. Stał z tak zimną krwią, z fajeczką krótką w ustach, jakby na stanowisku podczas polowania na szaraki. Oddziałało to tak na wiarę kosynierską, iż gdy Szyszyłowicz na ich prośbę nie chciał się położyć, chociaż dwie kule sztućcowe strzelców gorzelickich przeszyły mu bundę, wiarusom tak tem zaimponował, że jeden z Maćków czy Bartków zawołał:

— „A widzita chłopcy, jak nasz pan kapral stoi i nie boi się tych bąków. A czy nam to nie wstyd, żebyśwa jak wyżły warowali w bruździe?!

W mgnieniu oka prawie wszystka wiara stanęła na nogi, a gdy padł granat i znowu zrobił lukę, to słychać tylko było: — „A słowo stało się ciałem! a potem — szlusuj! — szlusuj! — Zeszlusowali wiarusy i stali jak mur.

Przed nadto wielką siłą nastąpił odwrót przez miasto, aż na drugą stronę pod las. Gdy jednak przyszedł sukurs z Nowego miasta i Pleszewa, wiara poszła szturmem znowu na miasto, aby go odebrać. A był to bój straszny, wściekły, zacięty. Nietylko każda ulica, ale każdy dom, każde podwórko, nieomal każde drzewo w sadach musiało być osobno zdobywane. Szturm ten trwał od 1. w południe do wpół do 6. wieczór, a deszcz lał przez cały dzień i broń nasza strzelecka w większej połowie zamokła.

Trzeba było zdobyć rynek w Miłosławiu, gdzie się piechota pruska silnie opierała. Aż tu z jednej strony na czele kupy kosynierów z podniesioną kosą do góry dąży biegiem Aleksander Szyszyłowicz, a z drugiej Tadeusz Sadowski, młodziutkie chłopię, wsadziwszy czerwoną krakuskę na kosę. Wiarusy tuż za nimi i dalejże rąbać, ile siły zmogą. Prusaków ogarnia panika, uciekają w bezładnych kupach, rzucają karabiny, tornistry, kaszkiety, ładownice; aby tylko ulżyć nogom. Kosynierzy nie ustają płatać chociaż z tyłu, po plecach i po łbach, bo Szyszyłowicz i Sadowski wołają nieustannie: naprzód! naprzód! Z bocznej ulicy znowu wpada Eugeniusz Trąpczyński, oficer r. 1831 r., także z kosynierami. W kilka chwil później Prusacy wyparci zupełnie z miasta, a jenerał Blum ucieka z całym korpusem.

Na rynek w Miłosławiu po skończonej bitwie przybywa naczelnik Mierosławski ze sztabem, a tu dwie kupy kosynierów prowadzą na miejsce poległych oficerów swoich wybranych, Aleksandra Szyszyłowicza i Tadeusza Sadowskiego, i domagają się natarczywie od Mierosławskiego, aby tych a nie innych mianował porucznikami; co gdy się stało, wiarusy porwali ich na ręce i każdy poniósł swego.

Po skończonych bojach Aleksander Szyszyłowicz udał się na tułactwo, gdzie osiadłszy w Paryżu, uzyskał skromną posadę najprzód w ministerstwie wojny, a następnie w zakładach fabrycznych jako buchalter. Dziwnie zacnego, a przytem łagodnego charakteru, posiadał powszechny szacunek nietylko u wszystkich towarzyszy tułactwa, ale i u Francuzów. Dzieląc się z bracią tułaczą nieomal ostatnim kęsem chleba, mógł sam zaledwie wegetować, przytem dłuższy czas zdrowie jego szwankowało, to też z prawdziwą boleścią skarżył się, że nie mógł podążyć w r. 1863. na plac boju, ale zastąpili go inni członkowie tego rodu, którzy się nie odrodzili od Aleksandra.

W r. 1872 przybył stęskniony do kraju i na skromnej posadzie buchhaltera w galic. Zakładzie kredyt. ziemskim, pracował aż do śmierci.

Cześć pamięci Twej wierny synu ojczyzny i dzielny poruczniku kosynierskiej wiary z pod Miłosławia i Sokołowa!

Garstka żyjących jeszcze towarzyszy bojów, więzień i tułactwa nie poskąpi Ci łzy bratniej.

J: N. z O. G.

Śmierć kilkudziesięciu ludzi w płomieniach.

Ramy pisma naszego nie pozwalają nam powtarzać sprawozdań dzienników lwowskich o tym ponurym wypadku, sprawozdań dosyć bałamutnych, w kórych obok niezbędnych objawów współczucia, objawia się obojętność dosyć wyraźna, jakoteż przyznać po prawdzie należy, że wrażenia jakie ta „straszliwa katastrofa“, tak ją nazywają dzienniki lwowskie, wywarła, nie równa się ani w setnej części temu wrażeniu, jakie w mieście naszym wywarła katastrofa Ringtheatru w Wiedniu, która nas, tak jak cały świat ucywilizowany li tylko ze względu humanitarnego obchodzić mogła.

Prawda, że ofiary tej naszej katastrofy nie skonały w eleganckich bucikach, rękawiczkach, przy zegarkach i binoklach, tylko ze zmarzniętemi nogami bosemi, skostniałemi od mrozu członkami, które dopiero żar śmiertelny po raz ostatni miał rozgrzać.

Ale nie chodzi nam tutaj o stawianie kwestyi społecznych, do jakich nie czujemy w sobie ani powołania, ani odpowiedniej siły, zostawiając takowe innym do załatwienia.

Zastanowić się musimy jednak nad podniesionem przez dzienniki twierdzeniem, że pan Rosner, liwerant owsa, siana i słomy dla załogi wojskowej we Lwowie, właściciel szopy i około pięciuset fur siana, gdzie zaszła katastrofa, wybudował własnym kosztem kilka magazynów, i darował takowe rządowi czyli administracyi wojskowej (co na jedno wychodzi) pod warunkiem, że przez lat dziesięć będzie miał monopol dostawy. Czytając to, nie mogliśmy oczom naszym wierzyć, i dziś jeszcze sądzimy, że to musi być jakaś pomyłka dziennikarska. Od przeszło lat czterdziestu zdarzało nam się widzieć w różnych armiach europejskich, tak pierwszo jak i drugorzędnych niejako jeden i ten sam system liweranków dla wojska. Do konkursu stają liweranci czy to jako osoby pojedyncze, czy jako reprezentujące towarzystwa, składają odpowiednie kaucye, dotyczące dowody, że w każdym razie są wstanie zadość uczynić wymaganiom intendantur wojskowych (o czem minister wojny austro-węgierski hrabia Bylandt-Reit w Radzie państwa dał obszerne sprawozdanie) i poddają się kontroli intendantury co do ilości, jakości, czasu dostawy i t. d. odpowiednich artykułów, na swoje ryzyko i koszta, które pierwszorzędnie pokrywa złożona kaucya. Kontrakt zawierany bywa zwykle z tym dostawcą, który się podejmuje dostawy za najniższą cenę.

Tak jest we wszystkich administracyach armij europejskich, tak jest i było przynajmniej dotychczas w armii austro-węgierskiej. Jeżeli były nadużycia, jeżeli dostawcy przez różne wpływy i protekcye umieli obejść w tym lub owym punkcie zobowiązania na swoją korzyść, to po wydaniu się podobnych manipulacyj, tak oni jako też ich wspólnicy lub protektorowie podpadali srogiej odpowiedzialności.

Stanowisko p. Rosnera w obec skarbu państwa (czyli intendantury, wojskowej) zmienia zupełnie dotychczasowy tryb prawny. Nie licząc już to na uwagę, że dostawca ten nie może się liczyć do takich, o których minister wojny austro-węgierski wspomniał, p. Rosner wziął się na sposób zupełnie nowy i oryginalny. Buduje magazyny na swój koszt, które darowuje rządowi, ale za ten wspaniałomyślny i patryotyczny podarunek zastrzega sobie liweranki na lat dziesięć. Jeżeli prywatna osoba czyni podobną ofiarę dla kraju, to zasługuje na wdzięczność i uznanie; jednak wtenczas tylko, jeżeli ofiara ta jest bezwarunkowa a nie obliczona na zysk, bo w tym ostatnim razie jest to tylko czysta spekulacya, która według wszelkiej rachuby musi zwrócić ofiarodawcy wielokrotnie przez siebie wydane koszta, a skarb narazić na straty. Jest to tak jasnem, że dyskusya nad tym przedmiotem staje się zbyteczną. Nad wiarygodnością tego faktu podniesionego przez czasopisma lwowskie i zagraniczne, powinny się zastanowić odnośne władze, i wyjaśnić szczegóły dotąd nieznane.

— To o magazynach p. Rosnera, darowiźnie warunkowej dla c. k. skarbu.

Przejdźmy teraz do tej nieszczęsnej szopy, która nie była darowaną, lecz zostawała własnością p. Rosnera razem z około 500 furami siana i to wszystko dobrze asekurowane. Szopę wybudował p. Rosner dla własnego użytku, czyli ze względu na interes swoich dostaw. Jak już wiadomo, szopa ta na czterech słupach z dachem, mogącym być spuszczanym lub podniesionym podług potrzeby, była ze wszystkich czterech stron otwartą. Tam to w sianie nocowała nędza ostateczna Lwowa, nieposiadająca nawet parę centów, aby nocować w żydowskich łaźniach w mieście, albo karczmach za rogatkami. Niektóre pisma donosiły, że był to stek najniebezpieczniejszych zbrodniarzy, którzy się tam przed okiem policyi ukrywali.

Znając dosyć dokładnie stosunki proletaryatu miasta Lwowa, pozwolimy sobie o tem wątpić. Ludzie, którzy boso i w letnich katankach szukają podczas surowych mrozów takiego schronienia, które ich zaledwie od zamarznięcia uchronić zdołało, nie mogą się liczyć do niebezpiecznych zbrodniarzy. Do zbrodni trzeba zawsze pewnego gatunku energii i sprytu, a u tych nędzarzy, jeżeli się to kiedyś znajdowało, to już dawno przepadło. Niebezpieczni zbrodniarze nie chodzą spać do szopy siana w zimie a do krzaków w lecie, rzadko się zdarza, aby chodzili w lichem ubraniu, a nigdy, by ich spotkać obdartych i bosych. Wielu z nich, i to właśnie najniebezpieczniejszych hula po całych nocach z dziewczętami, u których znajdują wypoczynek i bezpieczny przytułek, a gdy „roboty“ nie było, albo źle poszła, to i tymczasowe utrzymanie.

Trzeba wiedzieć, że między zbrodniarzami są jak w każdem społeczeństwie różne kategorye. Najwyższą arystokracyę stanowią weterani Brygidek i Wiśnicza. Są oni u swych młodszych lub mniej doświadczonych kolegów w poważaniu, i za pewną remuneracyę udzielają im nauk, jakich nabyli w tych akademiach zbrodni lub przez własne doświadczenie. Druga o szczebel niższa kategorya są to kryminaliści, którzy odsiedzieli swoje pokuty w więzieniach sądów obwodowych, tam gdzie kara nie przenosi jeden rok więzienia, i gdzie dopiero w części poznali szkołę zbrodni. Trzecią kategoryą są przestępcy i różnego rodzaju łotrzyki obojga płci, którzy karani byli przez sądy powiatowe, gdzie najwyższa kara nie przenosi sześciu miesięcy aresztu. To są nowicyusze, chociaż i oni spotykają się w aresztach powiatowych z weteranami zbrodni, którzy odsiedziawszy swoje kary w zakładach karnych lub kryminałach, za mniejsze przestępstwa dostają się do aresztów powiatowych. Stykanie się ludzi zasądzonych, a bardzo często tylko obwinionych o przestępstwa z ludźmi już zupełnie zepsutymi, wywiera fatalny wpływ na tych pierwszych, szczególnie na tych, którzy są w wieku młodocianym, a czasem jeszcze chłopcami. W hierarchii zbrodniarskiej ta trzecia kategorya nie jest traktowana na równi z pierwszą a nawet drugą, które się na nią patrzą z pogardą. Czwarta i zaiste najnieszczęśliwsza kategorya są mieszkańcy aresztów miejskich. Są to tacy, którzy po odsiedzeniu kary niemają nikogo we Lwowie, który by ich reklamował, lub przydybani na włóczęgostwie i niemogący się wykazać, ani miejscem przytułku, ani żadnym sposobem utrzymania, lub nareszcie tacy, którzy wyszupasowani do miejsca przynależności wracają tego samego dnia do Lwowa, bo w ich rodzinnem miejscu nikt im nic nie da, często nikt ich nie zna, a robotę we Lwowie zawsze łatwiej znajdzie, jak w małej osadzie. Widzimy ich codzień tych biedaków, najmniej winnych, a najgorzej traktowanych ze wspomnianych kategoryi aresztów. Zamiatają ulice, zgartują błoto i śnieg, a za to nie mają ani

senta, gdy tymczasem brygitnicy idący do rąbania drzewa lub na inne roboty mają pewną remuneracyę, a ich odzienie, obuwie, pościel, mieszkanie i wikt są nieporównanie lepsze.

Z takich to im podobnych biedaków składały się ofiary katastrofy na Janowskiem, bo zbrodniarz do podobnej ostateczności niedopuści, bo jeżeli już niema innego wyjścia, to się obliczy, żeby coś takiego zbroić, coby mu zabepieczało ciepły kąt za murami więzienia na zimę.

P. Rosner wiedział, że taka masa ludzi chroni się w jego sianie. Dzienniki piszą, że żądał asystencyi policyi, potem straży miejskiej, potem wojska do strzeżenia jego szopy i nie dopuszczania tam włóczęgów. Dziwna pretensya! Wszak szopa i siano było własnością p. Rosnera, dobrze zaasekurowaną. Skądże data. by mu władze dawały nocne warty? W takim razie, każdy właściciel magazynu, sklepu itd. mógłby mieć takie same pretensye.

Dopiero w ostatnim czasie p. R. przyjął dwóch wartowników i jakiegoś r u d e g o. Póki tej warty nie było, biedacy nocowali i ognia nie było, dopiero gdy ta straż stanęła, nastała katastrofa. Zresztą na co służyła ta straż, kiedy niemogła przeszkodzić natłokowi włóczęgów.

Bardzo dziwny jest to samo sposób wybuchu ognia i to z równą gwałtownością i równocześnie ze wszystkich czterech stron szopy i to o czwartej godzinie rano. Niektórzy utrzymywali, że to musiało nastąpić z ognia z fajki, którą niedopaloną któryś włóczęga włożył w siano. To niewytrzymuje żadnej krytyki, bo najprzód takie biedactwo jak tam nocowało, siedzi po szynkach do 11. wieczór, a gdy o tej porze szynki zamykają, chroni się gdzie może, n. p. do szopy siana, a po jedynastej już takiego biedaka na ulicy spotkać nie można, bo już jego powierzchowność zniewala policyanta do zatrzymania go i zaprowadzenia na inspekcyę policyi. Niepodobieństwem jest przepuścić, aby który amator o godzinie czwartej rano zapalał fajkę, lub też żeby ją wprzódy niewypaloną w siano wetkał i to zająwszy się tliło przez kilka godzin, aż o czwartej rano płomienie buchnęły. Ale przypuszczając wszystkie te niemożliwości, to byłyby płomienie buchnęły z jednej strony szopy, a nie ze wszystkich z równą gwałtownością i równocześnie.

Wszelkie rozumowanie doprowadza do tego, że ogień z całą piekielną zręcznością i śmiałością był podłożonym.

Co robiło wówczas dwóch wartowników p. Rosnera i ich pomocnik „r u d y?“.

Zaraz po katastrofie rozeszła się również pogłoska, którą podały i dzienniki, jakoby siano zgromadzone składało się głównie z takiego, które uległo już większej lub mniejszej zgniliznie i zupełnie niezdatne było na karmę dla koni, a druga tylko część siana, która świeżo była przywieziona, mogła być uważaną za siano użyteczne.

Dalej opowiadano bardzo dokładnie, że mieszkańcy nocni mieli urządzone w środku siana formalne izby, popodpierane drągami, gdzie ich się i po kilku razem mieściło. Tak samo chodzą pogłoski, że za to prawo zamieszkania, które chorym nawet w dzień służyło za szpital, byli zobowiązani p. Rosnerowi świeżo zwiezione siano wywiązywać na wiązki bezpłatnie, lub też za bardzo niskiem wynagrodzeniem.

Jest godnem zastanowienia, kto informował reportera *Kurjera lwowskiego*, p. Zygmunta Frylinga, który donosząc beznwłocznie w obszernym artykule o katastrofie, napisał formalną apoteozę dla p. Rosnera, przedstawiając go nieomal jako filantropa.

Obecnie dochodzą nas ciekawe szczegóły, które podać jednak możemy dopiero po ukończonem śledztwie. Natomiast donieść możemy, że p. Rosner nie jest bezpośrednim liwerantem siana, ale tylko firmą widomą, bogatego lwowskiego kapitalisty i spekulanta.

Znana jest taktyka spekulantów żydowskich, że nigdy jeden sam nieprowadzi interesów, tylko ta jednostka zwykle ma albo wspólników, albo takich, których on jest po prostu faktorem i osobą swoją zasłania swego mandatora. Taka rzecz ma się między p. Rosnerem i p. Menkesem. Pierwszy nie posiada takiego majątku, aby osobiście mógł wydołać warunkom dostawy; drugi zaś zgrzybiały starzec, który się nie wydala ze swego bióra, tylko stamtąd sieci swoje rozpościera, jest najbogatszy może kapitalista we Lwowie. — Czy te darowane magazyny, ta szopa ze sianem szły z kieszeni p. Rosnera czy Menkesa, tego się domyśleć nie trudno.

Kto też dostanie premium asekuracyi?

Echa warszawskie.

Znane są wielkie galerye i biblioteki Rzymu, Florencyi, Wenecyi a nawet i Wiednia, utrzymywane otworem dla publiczności przez magnackie rodziny, dla których wielki ród i wielki majątek, są zarazem prawem do obowiązków publicznych. — U nas, oprócz jednego Wilanowa, który Szanowna dziedziczka z prawdziwą otworzyła gościnnością, niema ani jednej instytucyi utrzymywanej kosztem rodzin możnych. Biblioteki na cztery spusty pozamykane, nie odnawiane nowemi nabytkami, w malarstwie ani starożytnictwie żaden pan się nie kocha, a przyrodoznawstwu brakuje Tyszkiewiczów i Wodzickich... Świadczy to, że wielkie domy żyją pasożytnie, że nie mają ani ducha, ani pieniędzy na cele pożyteczne. W ostatnich dopiero czasach hr. Braniccy zamierzyli dać inicyatywę do zmiany w tym kierunku na lepsze i zbiory swoje naturalistyczne, zgromadzone przez pp. Taczanowskiego i Wagę w północnej Afryce, Sztolzmana i Jelskiego w Ameryce, zamierzają ulokować w budynku ongi służącym za lożę masońską, a znajdującym się w ogrodzie na posesyi Frascati w Warszawie. Pan Wł. Taczanowski porządkuje obecnie te zbiory tak, aby ciekawe i cenne kolekcye, uprzystępnić nie tylko dla uczących się i studyujących historyę naturalną, ale i dla żądnej wiedzy publiki. W połowie lipca zbiór ten będzie już otwartym, spodziewać się więc należy, iż krótki z niezbędnemi objaśnieniami katalog wydanym zostanie, aby ułatwić profanom oryentowanie się wśród nieznanego sobie świata. — Naturalnie, podobne postępowanie pp. Branickich witamy z zadowoleniem, czas bowiem już położyć koniec bezczynności względem dobra publicznego, właścieli największych fortun w kraju.

Ogólna stagnacya panująca obecnie w kraju i zagranicą, o której ekonomiści nasi napisali już całe tomy arcydzieł, dała się we znaki pewnej znakomitej firmie w podwawelskim grodzie. Półupadek takiej firmy wpłynie przedewszystkiem na humor narodowy, a następnie zamąci nieco plany i interesy pewnego krakowskiego aktora, grywającego różne role z powodzeniem więcej poza sceną niż na scenie. Znakomity ten artysta, który krętą wprawdzie, ale zato wysypaną kwiatami z pobożnych rąk dewotek kroczył drogą i kiedy w oddali już widział swój pomnik ze szczerej miedzi z uwieńczoną laurem skronią... fik!... i zwichnął nogę! A wszystkiemu temu winna przeklęta stagnacya! Firma, o której teraz mówimy, jest to stańczykowska klika w Galicyi, a znakomitością z nadwerężoną nogą, p. Arwin Zieliński, aktor krakowskiego teatru i generalny reprezentant fabryki „Biczów“ na całą Austryę. Wielcy panowie, u których ten genialny człowiek był jednym palcem u prawej ręki, zawiele znać wydali w ubiegłym roku na sport i bicykle, zabrakło im przeto na kubany... przepraszam... subwencyę dla swego organu stańczykowskiego humoru, postanowili przeto zmniejszyć dawkę panu Arwinowi do połowy. Nie w ciemię jednak bito pana Arwina! Skoro wy subwencyjkę zmniejszacie niby... do połowy i ja też zrobię wam szpasika! — pomyślał sobie pan Arwin i na drugi dzień w okazowym numerze „Bicza“ wydrukował przemowę do narodu, że z powodów ogólnej stagnacyi i „wielkich nakładów“ (?!) „Bicz“ miast czterech razy, ukazywać się będzie tylko dwa razy na miesiąc (!), a wypisawszy całą szpaltę na temat żalów nad biednym narodem, któremu taką „sążnistą“ czyni krzywdę rozpołowieniem pisma, zakończył religijnem credo, że „niewyczerpana łaska boska pozwoli jeszcze kiedyś stanąć temu organowi u szczytu zadania!“ Czy p. Zieliński będzie kanonizowanym, czy był to zręczny manewr dla zwrócenia na siebie uwagi... papieża, czy Galicya wylewa krokodyle łzy nad znikomością... subwencyi — niewiemy; pewni jednakże jesteśmy, że pan redaktor „Bicza“ utorował sobie drogę do „pobożnej kasy“ ojców jezuitów i jeżeli jeszcze wraz z dewotkami krakowskiemi zechce jąć się szorować podłogę w celi księdza prefekta, z pewnością, prócz zbawienia niebieskiego, odzyska ową drugą połowę subwencyjki, która połączona z zapomogą od „dobrych państwa“, będzie znakomitem zielem, leczącem ból zwichniętej nogi, a „Bicz“ na nowo będzie biczował postęp, naukę i oświatę, dopóty, dopóki pan Arwin nie zostanie... jakim sufraganem, czemu nie dziwilibyśmy się wcale, pełen nadziei ten młodzieniec bowiem, ma wszelkie kwalifikacye na.... jezuitę.

Przekroczyliśmy tedy karnawałowy Rubikon, odtłoczyliśmy już trzecią maskaradę, nanudziliśmy się na niej jak tylko było można najlepiej i obecnie szykujemy się na... czwartą. Nadzwyczajny bowiem to rok bieżący, którego rozmaite rozmaitości trapić będą wedle Nostradamusa, a wedle astronomów współczesnych i dwie komety z długiemi ogonami.

Cóż wam tu powiedzieć o tej trzeciej maskaradzie, która kubek w kubek była podobną do wszystkich swoich poprzedniczek, na której tak samo zupełnie nieciekawie się intrygowano na kolacyjki, kruszony, a nawet gdy nie było można na skromne pomarańcze, — i po której zmęczony człek szedł do domu, znużony, przeklinając w pień wszystkie mody, nakazujące zapłacić rubla, zdobyć sińce na bokach, nie wyspać się i nazajutrz wyglądać niby ugotowana mucha. Pomimo tych wszystkich wszelakości, trzecia maskarada udała się najdoskonalej, bo kasie teatralnej przyniosła 2500 rubelków czystego zysku, co w dzisiejszych smutnych czasach jest wcale pożądaną sumką. Już to ja wcale nie idę za tymi półmędrkami, co sobie ze znaków niebieskich zwłaszcza w roku 1886 nic nie robią. Skoro tylko wyczytałem w *Kuryerku warszawskim* o schadzce dwóch komet na nieboskłonie, zaraz sobie pomyślałem, że coś będzie — i nie minęło parę dni, a przeczucia moje się sprawdziły.

Pan Feliks Sobański z powodów, o których nawet nie wie *Kuryer Poranny*, podał się do dymisyi z godności prezesa Towarzystwa Osad rolnych a zgromadzony zarząd w jego miejsce wybrał pana Ludwika Górskiego, wedle określenia p. T. Jeske-Choińskiego, podobno „młodego konserwatystę“. Ten młody konserwatysta jest prawdziwie genialnym wynalazkiem i przypomina mi coś w rodzaju kopalnego człowieka. Wolałbym wprawdzie, aby raz już u nas przestano się zajmować kopalnymi ludźmi, a do pracy ogólnej szukano nowych a młodych, cóż jednak robić, kiedy stereotypomania jest chorobą u nas grasującą w zatrważający sposób i nie prędko znajdzie się jaki Pasteur, któryby przeciwko niej wynalazł skuteczne lekarstwo. Tak więc i na tem stanowisku cieszyć się należy, żeśmy nie zostali bez speakera i że znów możemy się poszczycić naszym współczesnym, znanym i wysoko poważanym prezesem.

W sferze dam, przynajmniej jest jakaś różnorodność, na prezesowych mamy jakoś więcej kandydatek jak kandydatów na prezesów, to też z pewną przyjemnością spostrzegać się daje w towarzystwach, kierowanych drobnemi rączkami, pewien ruch dodatni, pewne ożywienie i pożyteczna działalność. Oto w ubiegłym tygodniu bardzo pięknie zadukomentowało swoje istnienie towarzystwo opieki nad matkami i ich dziećmi, które wypracowało bardzo pożyteczną instrukcyę dla protektorek swoich, a których obowiązkiem będzie przedewszystkiem jednać członków, odszukiwać odpowiednie wychowawczynie dla dzieci, czuwać nad ich zdrowiem i wychowaniem, dowiadywać się osobiście o potrzebujących pomocy, a ze wszystkich tych czynności w każdy piątek po pierwszym, składać odpowiednie raporta. Nie wątpię ani na chwilę, że ta agitacya i działalność rozwiną się z całą energią i z góry twierdzę, że nie ma takiego osobnika w naszym kraju, któryby posiadał moc oparcia się szlachetnym popędom serca, gdy go ku temu kusi ładna warszawianka... chyba że to serce jest u niego z granitu. Kiedy też rozpatruję czynności naszych drobnych i ładnych rączek, czynię sobie sam pytanie, czemu to nie wszystkie stowarzyszenia starają się o ich czynną pomoc i przychodzę do wniosku, że chyba nie rozumieją swojego własnego interesu.

Ot naprzykład Towarzystwo opieki Handlu i Przemysłu, które się skarży na prasę w ostatnich czasach, mocno krytykującą jego działalność. Drażliwość ta dosyć a nawet bardzo dziwna, nawet jednemu z członków wsunęła pióro do ręki i podyktowała długi artykuł w obronie napadanej niby instytucyi. Drażliwy twierdzi, że od towarzystwa ludzie żądają manny złotej z nieba i że towarzystwo daje to, co może a może tylko... dać język i usta, przeto niemi społeczeństwu służy. Przetłómaczywszy to na mowę zwykłych śmiertelników, zapewnienie tak wygląda: ponieważ nic nam nie pozostaje prócz dobrych chęci, przeto macie dobre chęci i brukujecie niemi piekło. Niezawodnie i to coś warte bo przysłowie powiada, że „dobra psu i mucha“, ale też nad tą muchą prasa unosić się nie może i nie może wyśpiewywać hymnów pochwalnych, skoro tylko o samych projektach dochodzą ją wieści, na które to projekty, nawiasem mówiąc, zbyt wiele poszło pieniędzy za światy, wówczas gdy tej mamony kraj zupełnie do zbytku niema. Wprawdzie każda nauka teraz jest bardzo kosztowną, jak tego świeży dowód mieliśmy na pewnym młodzieńcu, którego jakiś „kotlecik“ wedle wyrażenia reporskiego oporządził na przyzwoitą sumkę w dyabełka; no, ale to już jest nauka innego A propos tego młodzieńca, który nietylko że przegrał sumę bajońską, ale w dodatku pono miał niczem nieprzymuszoną wolę się otruć, przychodzić także muszą rozmaite refleksye do głowy, a mianowicie, co ta nieszczęśliwa nasza złota, tombakowa, pozłacana i każdego metalu młodzież ma robić w dzisiejszych ciężkich czasach, jak nieoddawać się gierce i oporządzać przybywających „frajerów“ z prowincyi. Karnawał bez gorących kolacyj, bale w homeopatycznych dozach, panny na wydaniu i do tego posażnej z mikroskopem w korcu maku nie odszukać, jednem słowem w całem terenie kawalerskim szalona klapa — człek z nudów musi się chwycić stosunków mniej moralnych z damą pik, trefl, karo lub kier, zwłaszcza gdy go od początku edukacyi nie umiano nauczyć czytać. Niechaj więc co chcą sobie mówią nasi młodo-konserwatyści, ja udaję się znów z propozycyą do dam, aby ratowały sytuacyę, gdyż inaczej, prawdziwego młodzieńca w bardzo niedalekiej przyszłości nie znajdziemy nawet na lekarstwo i wtedy co będzie?! Koniecznie, koniecznie! piękne panie, założyłyście stowarzyszenie opieki nad matkami i dziećmi — pomyślcie o założeniu stowarzyszenia opieki nad młodzieżą.

Przegląd tyg.

KRONIKA.

Żałobne nabożeństwo w rocznicę powstania z r. 1863. za poległych bojowników, odbywały się na obszarze całego kraju, połączone następnie z wieczorkami. Pamiątkę tę obchodzono w wielu miejscach po raz pierwszy.

Dziś odbyło się także nabożeństwo we Lwowie w kościele OO. Dominikanów. Kościół był zapełniony młodzieżą szkolną i szerszą publicznością. Przed wielkim ołtarzem ustawiony był katafalk pięknie kwiatami i bronią ubrany. na trumnie leżała konfederatka. Pod nią powiewał sztandar z Matką Boską Częstochowską i orłem. Mszę odprawił ksiądz prowincyał Nowakowski, poczem w pięknych słowach przemówił ks. Rajmund, dominikanin, zachęcając młodzież do pracy i miłości Boga i Ojczyzny, wychowańców i matki Polki, do rozszerzania tych cnót między młodzieżą. Uroczystość zakończyła się odśpiewaniem pieśni „Boże coś Polskę“ i „Z dymem pożarów“.

Windhorst w Sejmie pruskim. W ostatniej chwili odebraliśmy berlińską *National-Zeitung* (już w trzecim wydaniu) z dnia 28. stycznia. Otóż przekonaliśmy się, że dzienniki polskie galicyjskie, które z taką trafnością i dokładnością drukują mowy i mówki swoich klientów sejmowych, — sprawę tak głośną jak mowa żelaznego kanclerza i Windhorsta obrońcy Polaków, podały tylko w luźnych wyjątkach, gdy w tych głosach każde słowo wypowiedziane, jest dla nas wielkiej wagi, abyśmy go znali.

Naturalnie, że wydawnictwo nasze jako „Dwutygodnik“ nie ma możności tym obowiązkom sumienia dziennikarza polskiego zadosyć uczynić. Pomimo to, gdyby dziennikarstwo galicyjskie polskie, nie uczyniło temu obowiązkowi zadosyć, to choć w następnym numerze, podamy w całości ten akt dziejowy niemieckiej siły przed prawem narodów.

Dziś podajemy chociaż jeden ustęp z mowy Windhorsta (Hanowerczyka) tego prawdziwego Leonidasa cywilnej odwagi — chociaż zalicza sie do szczepu germańskiego.

Windhorst mówi:

„Polacy są zupełnie uprawnionymi poddanymi pruskimi, (brawo) a gdy się ich w ich prawach ogranicza, bronię ich tak samo jak moich własnych (poklask) i uczyniłbym to dla każdego innego. Że to jest zgodne z patryotyzmem pruskim. dowiódł tego zmarły pan Gerlach, który na tego rodzaju przemówienie spokojnie odpowiedział: „trzymam się silnie przyrzeczeń moich królów, — przecież stała się Polakom niesprawiedliwość (poklaski)

Dziś słyszeliśmy wprawdzie, że proklamacya króla pruskiego nie jest warta „Pfefferlinge“ (gałeczki z najpośledniejszego ciasta piernikowego nawłóczone na nici. Red). (zaprzeczenia). A więc ucieszę się, jeżeli stenograficzne sprawozdanie inaczej opiewa, tak jednak powiedziano. Zatwierdzę, że układy te są ważne dzisiaj i zawsze.

W ustawie napisano wyraźnie i jasno w § 7.:

„Prusacy są równi w obec prawa“. Wszystko więc co przeciw Polakom uczyniono — resp. w myśl postanowionego wniosku, ma się postąpić, nie da się z tym paragrafem połączyć harmonijnie (bardzo prawdziwe!) Jest to proklamacya „stanu wyjątkowego“, która nie może być tolerowaną, a jeżeli się ktoś chce tak daleko posunąć, aby wszystką szlachtę polską wywłaszczyć, (zaprzeczenia) — to było powiedziane! — natenczas już żaden stan nie jest bezpieczny (słusznie). Jeżeli kiedyś będziemy mieli Ministeryum Bebla, które sobie powie o „Schönhausen“ (dobra darowane kanclerzowi. Red.) — to jest moje mieszkanie, które można zapotrzebować, a to ministeryum każe posiadaczowi szukać sobie innego mieszkania, czyby wtenczas nie powiedziano: „idźcie do Ameryki, do Holandyi, albo do — Kamerunu“ (wesołość).

Z Samborskiego, 21. Stycznia.

Za Starem miastem znajdują się dobra Spas i Łumna z wielkimi lasami. Spas należy do hr. Wodzickiego, prezesa Lenderbanku, Łumna do spadkobierców hr. Chamborda.

W dobrach tych jest kilka tartaków parowych o 20. do 30. piłach, a zeszłego roku postawiono w Łumnie ogromną maszynę do przerabiania drzewa na massę, z której ma być papier wyrabiany. Wyrębywanie lasów prowadzi się w pomienionych dobrach na największe rozmiary. a urzędnicy. użyci do ich administracyi, są sami Niemcy. Wywóz drzewa rzniętego na tartakach, do dworców kolejowych w Chyrowie i Samborze odbywa się wozami. Ale na wiosnę ubiegłego roku rozeszła się wieść, później autentycznie stwierdzona, że dla ułatwienia wywozu, ma być zbudowana specyalna kolej z Sambora do Starego miasta a później do Łumny. Gdy się o tem dowiedzieli okoliczni mieszkańcy gmin Czukiew, Neudorfu, Bereznicy, Straszewic i innych pobliskich wsi, podali prośbę do ministeryum rolnictwa, w której wykazali wielkie szkody jakieby ponieśli w swych gruntach, gdyby rzeczoną kolej proponowaną linią przez ich pola prowadzono i wskazali w tej prośbie znacznie bliższą inię, łączącą kolej Dniestrzańską ze Starem miastem, mianowicie od stacyi Felsztyn przez Starąsól do Staregomiasta. Prośbę tę podpisało 203 członków okolicznych gmin i wysłano ja do Wiednia jeszcze 22. Kwietnia ubiegłego roku. Do teraz, a zatem po upływie dziewięciu miesięcy, ministeryum nie udzieliło żadnej odpowiedzi, Czyby tam przeważać miała korzyść dwóch magnatów (hr. Wodzickiego i hr. Chamborda) niż dobro kilku tysięcy rolników?

Ubiegłego roku dwóch właścicieli tutejszej okolicy ponieśli znaczne klęski przez pożar: w Wykotach u p. Balickiego spaliły się gumna, stajnie i szpichlerz, a w Sielcu u p. Weebera zgorzała szopa, mieszcząca w sobie 900 kóp zboża, młocarkę, zapasy słomy i t. p. Obydwa te pożary miały powstać z podpalenia przez żydów za to, że nie chciano ich dłużej w karczmach trzymać.

Gospodarze tutejszej okolicy uskarzają się na ogromną masę myszy tak w polu jak i po gumnach. W wielu miejscach zasiane pola wyglądają zupełnie przez myszy zniszczone, ale nikt się nie spodziewa, by podatki gruntowe z tego powodu zmiejszono. Co dokucza podatkującym, temu władze nie spieszą się zaradzić lub ulgę przynieść.

(Powyższa korespondencya zawiera jeszcze kilka innych szczegółów, ale zbyt drażliwej natury, wobec zapatrywań c. k. Prokuratoryi. Zdaje się jednakowoż, że ze stanowiska obywatelskiego oddamy dobrą usługę rządowi, jeżeli zwrócimy uwagę na to, co głośno się kolportuje powszechnie w Samborskiem i całej okolicy, a mianowicie, panuje tam wielkie rozgoryczenie z powodu urzędnika podatkowego p. B., a drugiego p. O., którzy swem postępowaniem, niemoralnością i niepławidłowemi praktykami urzędowemi czynią wiele złego. Bliższych szczegółów nie możemy podać, lecz ustęp ten w odpisie uważaliśmy za właściwe przesłać Ekscelencyi p. Jorkaschowi, do jego wiadomości.

Ks. biskup tarnowski Łobos dał znakomit odpowiedź klubowi „centrum“ w sejmie, który sobie w tak niepraktykowany sposób pozwolił sądzić posła ks. Adama Kopycińskiego o wrzekome szerzenie socyalizmu pomiędzy ludem. Była to strassna obelga, rzucona na nasze katolickie duchowieństwo, a powodem jedynym do tej obelgi było najwstrętniejsze oszczerstwo. Wiadomem również jest, że władza duchowna acakolwiek była przekonaną o niewinności ks. Kopycińskiego, nie chcąc jednak nic mieć na sumieniu, przeprowadziła w własnym zakresie najsurowsze śledztwo, czy ks. Adam Kopyciński nie dał chociaż mimowoli pozoru, któryby usprawiedliwiał taką kalumnię. Dochodzenie duchowne wykryło wprost przeciwne fakta, a rzucające bardzo smutny cień na działalność obywatelską pewnych panów szlachciców w ziemi tarnowskiej. Borykanie się z nimi i wywłóczenie tej wstrętnej sprawy przed nowe forum jakichkolwiek sądów, ubliżałoby tylko władzy duchownej.

Biskup tarnowski ks. Łobos ferując wyrok względem podwładnego mu kapłana — podniósł go do godności kanonika. Przekonani jesteśmy, że nie tylko katolicy, ale i obywatele innych wyznań przyjmą tę wiadomość z prawdziwą radością, bo skuteczniej i z większą godnością nie mogła władza duchowna wziąć w obronę swego kapłana.

Z przemyskiej ziemi donoszą nam, iż tam obecnie są na porządku po gminach grabieże za podatki, które wykonują wójci z ławnikami, a na grabieże te mają zabierać nawet kiszoną kapustę w beczkach, która jak wiadomo stanowi po wsiach jeden z głównych artykułów żywności. Taka bezwzględność daje zapewne powód, że wielu gospodarzy zagrożonych taką egzekucyą, stawi stanowczy opór i nie pozwala się zagrabiać. Naturalnie, że opór taki spowoduje egzekucye wojskowe, ale czyby przy ściąganiu podatków nie należało się powstrzymać chociaż od grabienia najniezbędniejszych artykułów żywności, na to winny zwrócić uwagę odnośne władze i objaśnić wójtów, jak mają postępować.

Z Izby sądowej. Lwów, 28. Stycznia 1886. Ks. Stojałowski z Kulikowa. Wczoraj, 27. Stycznia, o godzinie 4. z południa, w Trybunale apelacyjnym w sprawach przekroczeń, odbyła się publiczna rozprawa, mocą której Trybunał zmienił wyrok Sądu powiatowego w Kulikowie, którym księdza Stojałowskiego, za obrazę honoru Józefa Bajsarowicza z Przemiwółek, skazał na trzy dni aresztu lub zapłacenie 15 złr. — w ten sposób zmienił, że trzy dni pojedynczego aresztu in natura ma odsiedzieć ks. Stojałowski.

„Chociaż bieda“ hoc! hoc! hoc! — Rzeczywiście furda bieda byle tylko był humor. Co tam bieda i nędza! to głupstwo. Raz kozie śmierć, a więc używajmy pókiśmy jeszcze żywi.

Oto wyjątek z listu jaki pisał szlachcic do szlachcica ze Lwowa na wieś, wzywając go aby przyjechał zabawić się i „rozerwać myśli“.

Rzeczywiście. karnawał tegoroczny, niczem niedokumentuje tej strasznej biedy, o jakiej się mówi i pisze. Balów, maskarad zapowiedzianych bez liku, jakby wtenczas, gdy przenica płaciła po 10 i więcej reńskich. Prawda, że dziś nie jeden hrabia galicyjski, zamiast jechać na zimę do Florencyi, Nizzy lub Paryża „poświęcił się“ i siedzi w kraju — miał nawet zamiar siedzieć na wsi, ale gdy tam roiło się dniem i nocą, od żydów. sekwestratorów i innych pretendentów żądających pieniędzy, to hrabia zemknął cichaczem do Lwowa lub Krakowa, jako jeszcze do najbezpieczniejszych portów. Tu jednak, aby nie dać poznać właściwej przyczyny przybycia a nawet zyskać imię „że popiera kraj“ pozłaca nędzę jak może, wydając bale, wieczory pikniki etc.

Za tym przykładem idą inne sfery, to też niedziw że do czulszego ucha, dochodzi dzwięk nie arf polskich, ale kłapiących szkieletów Holbeina.

Bawcie się więc dziatki! jeżeli kiedy to teraz czas tańcować i hulać, gdy nam tak ochoczo przygrywa żelazny kanclerz i naszym braciom nad Wartą. A potem z resztkami do — Monaco.

Za panią matką pacierz. Żartujemy sobie często z Francuzów, że ci, mianowicie w dziennikarstwie odznaczają się szczególną ignorancyą n. p. geografii lub dziejów, które leżą poza granicami Francyi. Nie przeszkadza to jednakowoż nic naszemu dziennikarstwu, że to idzie jeszcze o krok dalej, jeżeli nie zna nawet najnowszej epoki dziejów własnych. I tak: *Nowa Reforma* zamieszczając nekrolog ś. p. Aleksandra Szyszyłowicza pisze, że tenże „uczuwszy w r. 1848 gorącą krew żołnierską patryotyczną, stanął w szeregach, walcząc wraz z Libeltem i Mierosławskim, z którymi później uwięziony w Berlinie przesiedział długi czas w więzieniach Moabitu, a po wyjściu z więzienia emigrował do Francyi“.

Otóż według naszego zdania epoka od 46 do 48 r. powinna być przynajmniej o tyle znaną każdemu dziennikarzowi polskiemu, aby ten brednie nie pisał i nie fałszował faktów. Pokazuje się jednak, że nawet pierwsze powagi dziennikarskie, ale tylko zapewne w Galicyi, nie mają żadnego pojęcia o historyi, chociażby tylko XIX wieku; inaczej taki biegły w piórze dziennikarskiem wiedziałby o tem przedewszystkiem, że Karol Libelt był tylko żołnierzem w r. 1830 i 1831, a w r. 1848 był członkiem komitetu polskiego czyli rządu narodowego w Poznaniu, że proces o zdradę stanu przeciw Polakom osadzonym w więzieniu w Mohabicie pod Berlinem odbywał się od 1846 do 1848 r. i wtenczas siedzieli tam Libelt z Mierosławskim, oraz Szyszyłowicz; a nie siedział tam ani jeden Polak po r. 1848, aż dopiero po powstaniu 1863 r.

Są to bączki małe na oko, ale ważne, i taka nieznajomość faktów elementarnych z dziejów Polski XIX wieku, a właściwie już prawie w drugiej połowy tegoż, nie przynosi zaszczytu naszemu dziennikarstwu.

Brednie te wszystkie inne pisma galicyjskie powtórzyły.

Gwiazda lwowska obchodziła w tych dniach nader solennie wigilię imienin swego prezesa p. Franciszka Głodzińskiego, urządzając wieczorek własnemi siłami wokalnemi i scenicznemi. W udekorowanej sali zebrało się liczne grono członków „Gwiazdy“ wraz z żonami i córkami a był także obecny dawny prezes, ojciec Mieczysław Darowski. P. Cichocki, członek „Gwiazdy“ przemówił w serdecznych słowach do Solenizanta, zaznaczając wdzięczność za troskliwą opiekę nad „Gwiazdą“. Nieomal do łez poruszył wszystkich ojciec Darowski, który jak synowi przekazywał spuściznę kierownictwa nad dziełem, tak wdzięcznem dla naszej przyszłości. Chóry i scena komiczna dwóch dziadów, śpiewających mnóstwo okolicznościowych kupletów wypadły bardzo dobrze. Jakkolwiek w towarzystwie „Gwiazdy“ nie brak młodszych rękodzielników czyli majstrów, to jednak ze smutkiem zaznaczyć należy, że towarzystwo to jest prawie obcem dla tak zwanych „panów majstrów“. Nie ujrzysz tam nigdy tych głośnych i wysoko dmiących osobników, którzy uważając się za filary rękodzielnictwa w kraju, tworzą czyli małpują arystokracyę inną, a na którą zwykle psy wieszają. Taki pan majster, a jeżeli w dodatku uważa się za „realnościowego“, uważał by sobie za ubliżenie, gdyby się miał pospolitować w „Gwiaździe“. To też na tę uroczystość przybył tylko p. Walichiewicz, który by mógł zaświadczyć, z jaką serdecznością przyjęty został przez młodszych pracowników.

Dodać jeszcze i to wypada, że ton przyzwoitości towarzyskiej, jaki panuje w „Gwiaździe“, mógłby posłużyć za przykład nawet w tak zwanych „wyższych towarzystwach“, i że się serce raduje, patrząc na dzisiejszą generacyę odrastającej się młodzieży rękodzielniczej.

„W katastrofie pożarowej na Janowskiem“ zginęło — jak dotąd policyjnie skonstatowano — **47 osób**“.

Tak donosi „Kurjer lwowski“. My zaś śmiemy powątpiewać w wiarygodność tego doniesienia, a to z następujących powodów:

Poprzednio donosił „Kurjer“, że zebrano tam spalonych kości ludzkich aż 7 trumien, co mogłoby rzeczywiście odpowiadać ilości ludzi, którzy tam zginęli straszną śmiercią w płomieniach. Kości te miano wprawdzie odwieść w trumnach do kostnicy szpitalnej, lecz gdy dotąd pomimo najtroskliwszego dowiadywania się z naszej strony nie odprawiono w żadnym kościele nawet „cichej“ Mszy św., ani też nic nie wiadomo, by chociaż Towarzystwo św. Józefa z Arymatei pogrzebało te szczątki bliźnich, zaprzeczenie nasze jest zupełnie uzasadnione; bo gdyby tyle ludzi zginęło w płomieniach, to w stolicy kraju, gdzie aż trzech Arcybiskupów ma swoją siedzibę i stoi na czele duchowieństwa, a oprócz tego są reprezentacye duchowne zboru ewangelickiego, cerkiew prawosławna, duchowni mojżeszowego wyznania, toć przecie ktoś by się był poczuł, aby się pomodlono w którymkolwiek kościele lub świątyni za dusze zmarłych tak straszną śmiercią i w tak okropny sposób.

Gdy ta katastrofa w stosunku do mieszkańców miast, nie jest mniejszą od katastrofy w Ringteatrze wiedeńskim, duchowieństwo samo byłoby się poczuło do dania ostatniej posługi tym nieszczęśliwym. Prawda, że byli to ostatni biedacy i nędzarze, którzy nie mieli nawet schroniska takiego jak zwierzęta domowe i poginęli bez Sakramentów św. lub jakiejkolwiek poprzednio pociechy duchownej. Gdyby to jednak rzeczywiście byli *ludzie*, których niespodzianie i nagle śmierć zaskoczyła, toby im zapewne duchowieństwo nie było odmówiło ostatniej posługi. Widocznie musiała się tam schronić do tej kupy siana zgniłego gromada nawet nieswojskich ale dzikich zwierząt i jakiś profan tylko powkładał te kości w trumny i zamiast spieniężyć je w jakiej kościopalni. lub oddać do schowania oprawcy miejskiemu, przesłał je do trupiarni szpitala głównego.

Dochodzą nas wiadomości z prowincyi o stanie naszych miasteczek na Podolu. Mianowicie donoszą nam ze Skałatu, że wbrew zakorzenionej tam zasadzie: **„naj tak bude jak buwało“** miasteczko to w ostatnich czasach inny zupełnie jak dawniej przedstawia widok. Dawniej w środku miasta można się było utopić, polując na ptactwo nie tylko błotne, ale i wodne. Drogi i ulice były zaniedbane, chodników żadnych, oświetlenia dostarczał chyba księżyc i gwiazdy.... Urząd gminny wynajmował lokal na biuro w dawnym szynku, a władzę miejscową autonomiczną dzierżył i wykonywał w własnej osobie trafikant miejscowy. Dziś miasteczko to inną przybrało postać. Kancelarya zwierzności gminnej mieści się w porządnym murowanym budynku, który miasto własnym kosztem na ten cel wystawiło, za staraniem teraźniejszego burmistrza p. Czeluścińskiego, Herszka Kaczki i obecnego sekretarza gminy. Chodniki powstały za staraniem p. Teofila Dziembowskiego, a drogi i ogródki miejskie są wzorowo utrzymywane gorliwem staraniem inspektora powiatowego p. Miączyńskiego. Rada powiatowa i postępowy właściciel dóbr skałackich wiele się przyczyniły do podniesienia miasta. Rada powiatowa wystawieniem pięknego budynku na pomieszczenie biór swoich i budowę dróg powiatowych, a p. Rosenstock postępową i więcej przemysłową gospodarką. W miejsce dawnego obdartego budynku w którym się mieściła nędzna gorzelnia, wystawił p. Rosenstock młyn, browar piwny i porządną fabrykę spirytusu. Pałac, dawna rezydencya Poniatowskich, został cokolwiek odrestaurowany i nie robi już teraz wrażenia karczemnego budynku.

Natomiast z drugiego miasteczka na Podolu dochodzą nas wbrew przeciwne wiadomości. **Husiatyn** niegdyś siedziba Potockich, robi wrażenie bardzo zaniedbanego, prawdziwie żydowskiego miasteczka. Teraźniejszy właściciel hr. Gołuchowski sprzedał dawny pałac **rabinowi cudotworcy.** Rezydencya Rabina, jest tu osią około której obraca się cały ruch finansowo-handlowy i umysłowy miasteczka. Wszyscy tam mówią i myślą o sławnym rabinie. Setki depesz telegraficznych i listów pieniężnych odbiera dziennie cudotwórca-rabin.

Tłumy żydów obdartych, lub w atłasy odzianych, wiele nieszczęśliwych małżonek, nie cieszących się błogosławieństwem, dąży do pałacu rabinowskiego, szukając pomocy lub stósownej rady... rabin i jego adjutanci wszystko modlitwą uzdrawiają. Zwierzchność gminna zdaje się być pod wpływem powszechnego uwielbienia dla cudotwórcy, nie pamięta o swych obowiązkach, gdyż nieporządek w mieście jest wielki. W rynku stoją poburzone lub niedopalone szatra, w wielu domach brak kominów, drogi zaniedbane, chodników żadnych, straż policyjna składa się aż... z dwóch ludzi. Od kilku dni publiczność z dworca kolejowego oddalonego o dwa kilometry od miasta musi per pedes dymać wraz z manatkami ku miastu, gdyż fiakry, których tu jest kilkunastu, zrobili **strejk** i niewyjeżdżają na dworzec do pociągu. Władza w obec nich niema żadnej powagi, aby nadużycia ukrócić. W taki stan rzeczy powinna wejrzeć Rada powiatowa i egzystujące tam c. k. Starostwo. („Pomoc własna“.)

O szkole rolniczej w Czerniochowie, o której jeszcze w roku zeszłym rozchodziły się głośne i nie zbyt pocieszające wieści, odbieramy od bardzo poważnego obywatela z tamtych stron korespondencyę, — z której podajemy co następuje:

„W pośród tej biedy i nędzy, która napełnia myśl najczarniejszemi obrazami, tem milej oddziaływa promyk ożywczy, jaki jaśnieje nad szkołą rolniczą w Czernichowie. — Stosunki tamtejsze znacznie się zmieniły. — Młodzież zaczyna się nareszcie surowo zapytrywać na swe obowiązki i jakby różczką czarodziejską dotknięta, zmieniła się, uszlachetniła nad podziw. Urządziła się w rodzaj moralnej gminy. Wybrała z pomiędzy siebie senat, który sądzi kolegów i wszystkie sprawy koleżeńskie i takie tam zapanowało poczucie własnej godności, że kontrola wszelka jaka się zwykła praktykować w innych tego rodzaju zakładach, nad moralnością i pilnością, staje się prawie zbyteczną. Każdy uczeń dał rękę i słowo, że niebędzie postępował wbrew regulaminowi zakładu, i to święcie jest przestrzeganem przez ogół i pojedyncze. — Wszelkie wybryki i wycieczki poza bramę zakładu, nie istnieją. Młodzież pracuje, uczy się pilnie. Starsi i zdolniejsi dają korepetycye słabszym, młodszym; na polu zdobywania wiedzy panuje formalna konkurencya szlachetna. Słowem, jest to zwrot, który oby ogarnął wszystką młodzież naszą w kraju, a furda groźby i straszenie żelaznych kanclerzów“.

Monopol za monopol. Niegrzeczni Hiszpanie na pierwszą wiadomość o zamierzonym monopolu na spirytus w Niemczech — zapewne, aby się sprzeciwić panu Ignacemu Bniňskiemu za jego dobroduszne o Hiszpanach mniemanie — zawiązali się w mieście Bilbao (w sercu Karlistowskich prowincyi) w wielkie towarzystwo akcyjne, celem którego ma być przewożenie potrzebnego do win hiszpańskich spirytusu.

Panowie ci składają na początek skromną liczbę 20 milionów pezetów i tak są zażarci, że nie myślą ani kropli spirytusu brać z Prus, tylko z Królewstwa Polskiego pod Moskalem.

Mają oni obywatelom naszym w Królestwie dawać nawet zaliczki pieniężne, byle tylko spirytus tamtejszy sobie zapewnić.

Główną siedzibą towarzystwa ma być Warszawa; cały handel ma pozostawać pod nadzorem tamtejszego konsula hiszpańskiego.

Więc już dziś, gdzie jeszcze monopolu nie ma, grozi spirytusowi naszemu wielkopolskiemu spadek cen, a cóż dopiero, gdyby się w istocie monopol zaprowadzić miało!...

(Goniec wielkop.)

Ważne odkrycie. *Nordd. Allg. Ztg.*, której naczelnym redaktorem jest tajny radca komisyjny p. Pindter, ogłosiła była obecnie „różne“ akta(!) dotyczące powstania z r. 1863, chcąc tym tym sposobem odwrócić uwagę publiczności niemieckiej od sprawy wygnańców polskich albo też „widmem powstania“ panów posłów nastraszyć.

Ten krok jednak nie bardzo podoba się nawet niemieckim liberalnym gazetom; i tak krytykuje go *Gazeta magdeburska* i mówi, że komu się krytyka polityki jego, wewnętrznej nie podoba, powinien po prostu politykę tę zmienić.

Ważne odkrycie robi przy tej okazyi *Germania* i notuje ciekawą tę wiadomość, że:

Naczelny redaktor „Norddeuczerki“ pan Pindter, który ogłosił obecnie akta o polskim powstaniu, **był osobiście na powstaniu.** Będąc przedtem oficerem we wojsku austryackim, **brał czynny udział w szeregach powstańców** w walkach o niepodległość z roku 1863. Obecnie p. Piudter krytykuje się sam i w towarzystwie Austryaka, Dr. Schweinburga, bada polityków niemieckich, o ile oni są nieprzyjaciółmi cesarstwa.

Takie stosunki rzucają **jaskrawe światło** na „moralność“ publicystyki dobrowolnie urzędowej.

Tak pisze *Germania.*

W 2gim numerze „Pomocy własnej“ czytamy następującą korespondencyę:

„Wyczytawszy w pierwszym numerze pisma Waszego, tak gorące wewanie do współdziałania w popieraniu i rozszerzaniu każdej myśli, która ma na celu wzrost przemysłu, a z nim dobrobyt w biednym kraju naszym, staję i ja i w imieniu swojem i innych matek polskich i poddaję pod rozwagę ludzi kompetentnych myśl jedną, która mi od lat kilku po głowie nurtuje, a przed świętami Bożego narodzenia z okazyi podarków na „Gwiazdkę“ dla dziatwy naszej, zawsze wyraźniej się zarysowuje.

Mam tu na myśli wyrób zabawek dla dzieci, za które takie sumy co roku za granicę wychodzą.

Po wielu latach letargu i bezczynności, jednym z pierwszych powstałym u nas przemysłem krajowym były obok koronkarstwa, szkoły wyrobów snycerskich w Rymanowie i Zakopanem. Ale zakłady te produkują do tej pory tylko rzeczy zbytkowne, graciki więcej do elegancyi jak do użytku służące — cacka misterne i śliczne — ale też kosztowne i nie dla każdego przystępne.

Gdyby zakłady te zechciały się zająć mniej artystycznie, a więcej fabrycznie traktować część wyrobów swoich — kto wie, czyby to nie wyszło na wielką korzyść nich samych — i kraju całego.

Możeby to wpłynęło skutecznie na przełamanie obojętności w tym względzie publiczności kupującej, a może i zachęciło kupców do zabierania towaru, który zawsze i wszędzie popłaca.

Rok ten ostatni obudził świeżo goryez i żal do sąsiadów naszych z nad Elby i Sprei do tego stopnia, że ogólnie po sklepach z zabawkami słychać było pytanie „czy to nie pruski wyrób!“ Oczywiście że wyroby były po większej części niemieckie — a kupcy ratując się przed niechęcią publiczności, zmieniali na gwałt marki fabryczne — podając towar swój, jako „czeski“.

Czyż nie byłoby na czasie skorzystać z usposobienia takiego większej części publiczności, i przez dzieci trafić do serc rodziców — budząc w nich poczucie obowiązku obywatelskiego? — Wiemy, że i najbiedniejsi nawet rzadko powstrzymać się mogą od wydania kilkunastu centów na drewnianego konika, laleczkę — lub ptaszka dla ukochanej dzieciny! — Kramiki naszych małych miasteczek, pełne są owych potwornych zwierząt, lalek, i zabawek, które przecież chętnych znajdują nabywców. Może kiedyś, w przyszłości, znajdzie się ktoś z odpowiedniemi środkami materyalnemi do założenia fabryki zabawek dziecinnych; tymczasem nie byłożby dobrze choćby na próbę, dział jeden takiej fabryki, to jest wyroby drewniane krajowe wprowadzić do handlu?

Nie jestem bynajmniej za tem, aby szkoły snycerskie zstępywały ze swej artystycznej wyżyny, wykluczały część pracy szlachetniejszej, — zużywały wszystkie swe siły na wyrób zabawek; ale, wszak i tam jak wszędzie, znajdować się muszą uczniowie mniej zdolni, początkowi, albo talenta mierne, które nigdy nie dopracują do rzeźbiarstwa kościelnego, ornamentalnego, czyż takich, nie możnaby właśnie użyć stosownie, zatrudnić pożytecznie, wyrobem figurek i zwierząt, które chociażby mniej artystycznie wykonane były, nie będą pewnie gorsze, od tych bezkształtnych i brzydkich koni, kogutów itp. które sprowadzone z zagranicy, stosunkowo bardzo drogo płacimy. Nawet odpadki drzewa dałyby się bardzo dobrze zużytkować na klocki do budowania — tak powszechnie ulubioną zabawę przez wszystkie nasze dzieci.

Wyroby do nas sprowadzane są po większej części tak licho i niedbale zrobione — że już pięcioletnie dziecko, gniewa się na niedokładność grubości klocków, w skutek której żaden budynek równo ustawić się nie daje — a przecież właśnie ta zabawka, ma kształcić pojęcia architektoniczne dziecka, nauczyć symetryi i równowagi.

Albo tak praktyczne alfabety wypukłe na kwadratowych deseczułeczkach z rzeźbionemi i kolorowanemi literami, czyż nie byłoby doskonałem ćwiczeniem dla uczniów oddających się rzeźbiarstwu. Dotąd kupujemy wyroby francuskie a przeważnie niemieckie czyż nie możnaby je zastąpić własnemi? Chcemy widzieć w społeczeństwie naszem zajęcia się, upodobanie w rzeczach krajowych, — żądamy popierania produktów własnych, aż od samego początku, stawiamy przed oczy dzieciom naszym wyroby cudzoziemskie, (często liche). Oswajamy je z tą myślą, że wszystko co ładne, sprowadzać trzeba z zagranicy, a kraj nasz biedny nawet na zabawkę dla swych dzieci zdobyć się nie może! W imieniu wszystkich matek miłujących kraj prawdziwie, odzywam się z tą uwagą: chcecie abyśmy w serca dzieci naszych wpajały zamiłowanie rzeczy własnych, uczyły je cenić wartość materyalną naszego kraju, dajcież nam w rękę zabawki, skromne, takie na jakie nas stać, ale własne! Niech mamy na czem oprzeć to przekonanie, że bez pomocy obcych obchodzić się nam trzeba i obejść się możemy i powinniśmy.

Prospekt na Gazetę rybacką, która wychodzi co tydzień każdego piątku.

1) O korzyściach z wód stojących, jako to: stawów, jesiór, sadzawek, dołów, torfowisk, — z wód bieżących, jak: z źródeł, strumieni, potoków i rzek, nadto z zatorów lub korycisk nadbrzeżnych. 2) Podawać będzie wskazówki, w jaki sposób tanio i praktycznie urządzać wszelkie budowle wodne, przeznaczone do naturalnego i sztucznego rybactwa, do czego posłużą rysunki narzędzi i aparatów, których modele nabyć lub oglądać będzie można w lokalu redakcyi. 3) Jak należy prowadzić racyonalnie hodowle wodne. 4) Gazeta ta zawierać będzie artykuły naszych krajowych i zagranicznych ichtyologów, hodowców ryb i rybaków. 5) Poda krótką historyę naturalną ryby lub innego stworzenia wodnego, o którym mowa będzie. 6) Traktaty o wodzie w ogólności. 7) Ustawę rybacką w streszczeniu i kalendarz rybacki. 8) Wyciągi z najlepszych dzieł piscykultorów. 9) Korespondencye krajowe i zagraniczne. 10) Rezultaty połowów na stawach, jesiorach, rzekach i morzach, nadto wydarzenia rozmaite i spostrzeżenia rybackie. 11) Opisy gospodarstw wodnych, naszych i obcych. 12) Sposoby zużytkowania ryb pod względem przyrządzania ich dla stołu. 13) O akwaryach. 14) Adresy hodowców i kupców ryb i rybaków. 15) Ceny ryb na rozmaitych targach. 16) Rozmaitości. 17) Ogłoszenia hodowców ryb, rybaków i kupców ryb.

Gazeta ta kosztuje: w Księstwie Poznańskiem kwartalnie 3 mr. 75 fen.; w Galicyi 2 floreny; w Królestwie Polskiem 2 ruble.

Poznań d. 26. Grudnia 1885.

Ksawery Stabrowski redaktor.
Grobla, nr. 19.

Prospekt wiele obiecujący! A ponieważ wody mamy poddostatkiem tylko jej wyzyskiwać nieumiemy, nie umiejąc już hodować ryb jak nasi przodkowie; przeto wierzymy, że *Gazeta rybacka*, mianowicie z tak rozległym prospektem, jako bardzo pożądana, nieomal dla ogromnej liczby naszych ziemian, od razu znacznego dozna powodzenia.

Wystawa w Dreźnie dzieł sztuki (przy tamtejszej Akademi sztuk pięknych) w roku bieżącym otwartą nie będzie z powodu przebudowań na Brühlowskiej tarasie — o czem się pp. Artystów niniejszem zawiadamia.

Losowanie dzieł sztuki towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, odbyło się wczoraj w południe w sali wystawy obrazów w obec licznej publiczności.

Obrazy wygrane umieszczone były w pierwszej sali. Najbardziej podobał się obraz Krzesza, wygrany przez tutejsze kasyno miejskie.

Wygrane przenoszą wartość 3000 zł.

Poniżej podajemy listę wygranych obrazów, oraz nazwiska wygrywających i numera akcyj.

Dział I. Zakupione dzieła sztuki.

1. Bełtowski Juliusz „Mazepa“, szkic z terracotty, wartości 120 zł., wygrał p. Zygmunt Dembowski nr. 715.
2. Bieszczad Seweryn, „Pomnik Zborowskiego“, obraz olejny, wartości 20 zł., wygrał dr. Teofil Ciesielki nr. 741.

3. Dukszyńska Emilia, „Główka chłopczyka", obraz olejny wartości 100 zł., wygrał p. Kazimierz Lewicki nr. 685.

4. Dukszyńska Emilia, „Główka dziewczynki", obraz olejny wartości 100 zł., wygrał p. Antoni Bogdanowicz nr. 249.

5. Gerson Wojciech „Widok Szczawnicy", nr. 1, obraz olejny wartości 50 zł., wygrał p. Stanisław Papee nr. 1250.

6. Gerson Wojciech, „Widok Szczawnicy, nr. 2., obraz olejny wartości 50 zł., wygrał p. Jan Sadłowski nr. 788.

7. Gerson Wojciech, „Typ górala", obraz olejny wartości 25 zł., wygrało tow. sztuk pięknych w Warszawie nr. 544.

8. Grabiński Henryk, „Krajobraz", obraz olejny wartości 100 zł., wygrał dr. Wawrzyniec Żmurko nr. 552.

9. Harasimowicz Marceli, „Główka mieszczki niemieckiej" nr. 1, obraz olejny wartości 30 zł., wygrał p. Jan Adamowski nr. 779.

10. Harasimowicz Marceli „Główka mieszczki niemieckiej" nr. 2., obraz olejny wartości 30 zł., wygrał p. Stanisław Łomnicki nr. 648.

11. Kossak Juliusz, „Morsztyn pod Chocimem", akwarela wartości 200 zł., wygrał p. Antoni Obertyński nr. 1025.

12. Krzesz Józef, „Szlachcianka z XVI wieku", obraz olejny wartooci 400 zł., wygrało lwowskie kasyno miejskie nr. 894.

13. Łoś Włodzimierz, „Noc księżycowa", obraz olejny wartości 180 zł., wygrał p. Edward Ubysz nr. 98.

14. Piotrowski Antoni, „Epizod z r. 1863", obraz olejny wartośei 250., wygrała p. Walerya Giżycka nr. 916.

15. Reyzner Mieczysław, „Wieśniak szwabski", obraz olejny wartości 30 zł., wygrała p Hermina Odrzywolska nr. 980.

16. Rybkowski Tadeusz, „Życie w górach", (okolica Delatyna), obraz olejny wartości 300 zł., wygrał p. Józef Żurowski nr. 968.

17. Stachiewicz Piotr, „Kołysanka", obraz olejny wartości 200 zł., wygrała hr. Róża Lanckorońska nr. 1041.

18. Styka Jan, „Gliński z córką", obraz olejny wartości 250 zł., wygrał p. Adam Widajewicz nr. 223.

19. Swieszewski Aleksander, „Jezioro Nemi", obraz olejny wartości 325 zł., wygrał p. Jan Stankiewicz nr. 230.

20. Żuber Juliusz, „Głowa starca", obraz olejny wartości 50 zł., wygrał p. Ludwik Wroński nr. 143.

21. Album następcy tronu, (Kronprinz Album). 24 sztychów, wartości 20 zł., wygrał p. Józef Blauth nr. 139.

22. Jezioro Chiem, staloryt podług Hanscha. Premia towarzystwa Salzburskiego, wartości 5 zł., wygrał konwent OO. Bernardynów nr. 789.

23. Sosna, heliodruk podług Marzaka. (Z charakterystyki lasów austr.). Premia towarzystwa czeskiego, wartości 5 zł., wygrał p. Władysław Tchórznicki nr. 622,

24. Jodła, heliodruk podług Marzaka. (Z charakterystyki lasów austr.) Premia towarzystwa czeskiego, wartości 5 zł., wygrała umelecka beseda w Pradze nr. 918.

25. Wieś i miasto, sztych podług Marca. Premia towarzystwa austrjackiego, wartości 5 zł., wygrał p. Leon Broldo, nr. 35.

26. Kwitnące róże, heliodruk podług Blaasa. Premia towarzystwa austrjackiego, wartości 5 zł., wygrał hr. Stanisław Badeni, nr. 346.

27. Nadejście wiosny, miedzioryt podług Keysera. Premia towarzystwa austryackiego, wartość 5 zł., wygrał p. Michał Jabłonowski nr. 386.

28. Nadejście wiosny, miedzioryt podług Keysera. Premia tow. austr., wartość 5 zł., wygrał magistrat m. Lwowa, nr. 528.

29. Wieśniacy w ucieczce podczas 30-letniej wojny, litografia podług Meixnera. Premia umieleckiej Besedy, wartość 2 zł., wygrał p. Józef Hochendlinger nr. 385.

30. Jeleń przed walką, sztych podług Kroenera. Premia tow. anstr., wartość 5 zł., wygrał p. Jan Szyjkowski nr. 149.

31. Walka jeleni, sztych podług Deckera. Premia Tow. austryackiego, wartości 5 zł., wygrał p. Józef Skrzeszowski, nr. 1008.

32. Małgosia przed Matką bolesną, sztych podług Liezen-Mayera. Premia tow. wiesbadeńskiego wart. 2 zł. 50 ct., wygrała hr. Jadwiga Wodzicka nr. 807.

33. Małgosia u studni, sztych podług Liezen-Mayera Premia tow. wiesbadeńskiego, wart. 2·50, wygrał p. Stanisław Nowicki, nr. 213.

34. Małgosia u studni, sztych podług Liezen-Meyera Premia tow. wiesbadeńskiego, wart. 2·50, wygrał magistrat m. Lwowa, nr. 532.

35. Ostatni pochod Hofera, sztych podług Defreggera. Premia tow. austr., wart. 5 zł., wygrał p. Henryk Janko, nr. 747.

36. Ostatni pochód Hofera, sztych podług Defreggera. Premia tow. salzburskiego, wart. 5 zł., wygrał p. Leon. Wszelaczyński nr. 251.

37. Samobójca, miedzioryt podług Marzaka. Premia umieleckiej Besedy w Czechach, wartości 5 zł., wygrała pani Karolina Weber, nr. 1028.

38. Szczęście matki, olejodruk podług Riesl'a. Premia tow. styryjskiego, wart. 6 zł., wygrał p. Ignacy Nigrin nr. 967.

39. Szczęście matki, olejodruk podług Riesla. Premia tow. styryjskiego wartości 6 zł., wygrał p. Kraiński Edmund, nr. 618.

40. Zakochany pocztylion, fotodruk podług Kowalskiego. Premia umieleckiej Besedy w Czechach, wartości 5 zl., wygrała p. Michalina Bratkowska, nr. 109.

41. Jowisz i Jo, staloryt podług Coreggia. Premia tow. rozpowszechn. dzieł sztuki, wartość 4 zł. wygrał p. Jan Loewe, nr. 406.

42. Przeliczanie pieniędzy, miedzioryt podług Murilla. Premia Tow. rozpowszechn. dzieł sztuki, wartość 4 zł., wygrał p. Leonard Kieszkowski, nr. 287.

43. Jan Sobieski na polowaniu, chromolitografja podług Kossaka. Premja Tow. warszawskiego, wartość 5 złr wygrał p. Julian Gudwiłowicz nr. 392.

44. Wyjście procesyi z kościoła św. Barbary, fotograwura podług Lipińskiego. Premja Tow. krakowskiego. wartość 6 zł. wygrał p. Ferdynand Gąsiorowski nr. 236.

45. Ranny Czarnogórzec, sztych podług Czermaka (oprawny). Premja umieleckiej Besedy, wartości 13 złr wygrała p. Leonia Grelińska nr. 457.

46. Rudolf II. u swego alchemisty, fotodruk podług Brozika (oprawny). Premia umieleckiej Besedy, wartości 3 zł. wygrała pani Marya Stecka nr. 350.

47. Krajobraz Hobbema, reproduhowany w sztychu (oprawny). Premja Tow. rozpowszechnienia dzieł sztuki, wartość 13 złr. wygrał p. Antoni Wrotnowski nr. 219.

48. Zeszyt rycin, Towarzystwa reprodukcyjnego. Rocznik IV. zeszyt 1 wartość 3 złr. wygrał p. Teofil Drożyński nr. 298.

49. Zeszyt rycin Tow. Reprodukcyjnego. Rocznik VI Zeszyt II i III wartości 6 zł., wygrał hr. Teodor Lanckoroński nr. 1063.

50. Zeszyt rycin. Tow. reprodukcyjnego. Rocznik VI. Zeszyt IV. wartości 3 zł., wygrał p. Konstanty Siwicki nr. 689.

51. Zeszyt rycin. Tow. reprodukcyjnego. Roeznik VII. Zeszyt I. wartośei 3 zł., wygrał dr. Józef Kilarski nr. 917.

52. Zeszyt rycin. Tow. reprodukcyjnego. Rocznik VII. Zeszyt II i III. wartość 6 zł., wygrał ks. Jan Sapieha nr. 549.

53. Zeszyt rycin, Tow. reprodukcyjnego, Rocznik II. Zeszyt IV. wartość 3 złr., wygrał hr. Adam Gołuchowski nr. 87.

Epilog warszawskiego procesu politycznego. Z Warszawy piszą dnia 29. Stycznia. Egzekucya wyroku śmierci na czterech skazanych przez sąd wojenny warszawski socyalistów — jest już faktem dokonanym.

W nocy z dnia 27. na 28. oddział żandarmów udał się na miejsce wymiaru kary, do cytadeli, dla przygotowania ponurej sceneryi. W tejże nocy 3 duchownych katolickich i jeden prawosławny podążyli do cel więziennych, by przygotować skazańców do wyroku. Wszyscy spowiadali się, przyjęli ostatnie przemówienie kapłańskie w spokoju i komunikowali się.

O godzinie 8 rano w dniu 28. z. m. na placu cytadeli nastąpiło wykonanie wyroku. Powierzone ono zostało prokuratoryi sądu okręgowego, t. j. prokuratorowi panu Postowskiemu. Smutną rolę gospodarza placu objął komendant cytadeli jenerał Unkowskij; akt wyroku odczytał sekretarz sądu okręgowego p. Rudnicki. Miejsce kary zaszczycili obecnością żandarmi, urzędnicy prokuratoryi i przymosowo duchowni-spowiednicy.

Przed wykonaniem kary spodziewano się jeszcze w ostatniej chwili łaski carskiej, jakkolwiek bowiem wyrok uzyskał sankcyę w Petersburgu, konfirmacyę jednak na nim położył Hurko. Nadzieje te wszakże zawiodły.

Skazani do końca zachowywali grobowy spokój. Oczy wszystkich zwracał na siebie szczególnie Ossowski, szewc warszawski, oskarżony o zabójstwo szpiega w osobie konduktora tramwajowego. Szedł on pod stryczek powoli, z głową do góry podniesioną, ze spojrzeniem wyzywającem. Podobnie zachowali się Pietrusiński, tkacz Zgierski i Kunicki. Nerwowe drżenie zdradzał jedynie Bardowskij.

W chwili ściągania stryczka, z pod szubienicy rozległ się okrzyk jednobrzmiący 4 skazanych: „Niech żyje rewolucya socyalna!'

Zwłoki powieszonych pochowano w cytadeli.

Kalendarz krakowski. Dnia przybywa co dzień po troszeczku. Słońce wschodzi rano, a zachodzi wieczorem, nawet w dnie feralne i szabasy.

Księżyc najdalej od ziemi dnia 3go, ale potem się namyśla i 18go jest jej najbliżej, w czem jednak niema żdnej nieprzyzwoitości.

Słońce wstępuje w znak Ryb, ryby jednak nie wstępują w znak słońca. Z tego powodu grube ryby są ogromnie na targu poszukiwane przez kandydatki na gosposie. Często jednak bywają chwytane i płotki. Młodziez męzka poluje na złote rybki.

Imiona słowiańskie. Włóczykij, Walcomira, Sankosława, Kamerunosław, Geografomir, Bziczysław, Pędziwiatr, Mężochciewa, Żonkołap.

Wspomnienia historyczne. Dnia 3go Lutego 1674 r. pierwszy raz w rodzinie Bismarków zauważano skłonność go leczenia się u Dra Pasteura. Dnia 5. Lutego 1867 r. zaczęli Stańczyki gasić zapał, awanturnicze zachcianki propagować ideę pracy organicznej, co ich doprowadziło... do Kamerunu.

Kursa telegraficzne: Marki utrzymują się w cenie, bis-marki spadają gwałtownie, guldeny są jeszcze więcej poszukiwane niż w Styczniu.

„Ananas".

Z teatru.

(„Nasi zięciowie" komedya w 5. aktach Kazimierza Zaleskiego. Opera. Benefisy.)

„Nasi zięciowie"! Taki tytuł nosi ostatnia 5-aktowa komedya p. Zaleskiego, wystawiona na naszej scenie w drugiej połowie stycznia. Czy „nasi" zięciowie, tego niepowiedziałbym. Zięciowie p. Zaleskiego mają pokost czysto kosmopolityczny, a jak chcą niektórzy, znający dokładnie stosunki warszawskie — mają to być zięciowie grodu syreniego odtworzeni na scenie z tą wiernością rysów i z tą przesadą — jaka potrzebna jest do napisania dramatycznego paszkwilu. Jestto jednakże pogłoska, którą rozszerzają o każdej komedyi p. Zaleskiego, że tu wspomnę tylko o „Friebem".

Paszkwil na pojedyncze osoby czy też satyra w gruncie rzeczy może obchodzić nas, którzy jesteśmy nieobeznani z drobiazgami warszawskiego towarzystwa.

P. Zaleski popełnił dawniej jeszcze błąd, który mu nie tak łatwo krytyka wybaczy. P. Zaleski napisał dawniej „Przed ślubem" rzecz dramatyczną, tak misternie wykończoną w szczegółach i całości, tak bogatą w charaktery świeże, oryginalne — rzecz przeprowadzoną wyśmienitym aparatem technicznym, jednem słowem rzecz, która odniosłszy znakomite sukcesa, zapowiadała nową erę współczesnego dramatu polskiego. P. Zaleski zbłądził tedy wznieciwszy nadzieje, które się dotąd niezupełnie ziszczają.

To też gdyby „Nasi zięciowie", komedya odznaczająca się wykwintnym humorem, gładkim dyalogiem i czystym wzorowym językiem miała autora w kim innym a nie w Zaleskim, zasługiwałaby na nazwę dzieła świetnego, rokującego wielkie nadzieje. „Nasi zięciowie" Zaleskiego słuchani byli tylko z zajęciem, zrobili kilka widowisk i spoczęli już na cmentarzu biblioteki teatralnej, na którym kasyer wystawił pomnik z napisem: powodzenie mierne.

Bogaci bankierzy warszawscy, syci pieniędzy pragną koligacyi i ofiarowują sporo złota na odświeżenie i odzłocenie tarcz herbowych starych podupadłych rodów szlacheckich. Wydają swoje córki za zrujnowanych panów, aby nad kołyską ich wnuków mogła jaśnieć korona hrabiowska. Kupują sobie zięciów. Takim kupionym zięciem jest Wielohradzki (Kwieciński), jest dalej hr. Pimbeche (Ruszkowski) który ożenił się z córką p. Limburga. P. Limburg (Wojdałowicz) ma jednakże jeszcze jedną córkę Eleonorę (pni. Stachowicz), którą chciałby również wydać za człowieka z imieniem. Eleonora jest dodatnią postacią komedyi. Piękna, obdarzona czułem i szlachetnem sercem, posiada również tyle zmysłu spostrzegawczego, iż przewiduje, że przyszły mąż weźmie ją jako dodatek do posagu. Pani Elżbieta, (Nowakowska), kobieta prowadząca świetne salony i swatająca w sposób zręczny, elegancki i dystyngowany bogate córy izraela ze zrujnowanymi potomkami senatorów — wystarała się o męża dla Eleonory. Jest nim Stanisław Horski (p. Woleński), człowiek młody, zacny, stosunkowo bogaty, na ktorym Eleonora robi tak dodatnie wrażenie, iż po krótkiej znajomości oddaje jej swe serce, pragnąc oddać oraz i rękę; i Eleonora wierzy w czyste uczucie Horskiego, a ekspozycya komedyi byłaby już na ukończeniu, gdyby w samą porę nie wmięszał się w tę sprawę p. Żelski.

Ale zjawia się Żelski (Lubicz) przyjaciel Horskiego, który kładzie stanowcze „veto". Żelski zna świat bankierski, zna poniżające stanowisko kupionych zięciów, a jakkolwiek wierzy w bezinteresowną miłość swego przyjaciela, tu jednak powodowany życzliwością, niechce mu pozwolić na mezalians, potępiający go w oczach świata i piętnujący nazwą kupionego zięcia.

Wreszcie młoda para po forsownem steeplle-chase, po pokonaniu rozmaitych rowów i płotów, które zręczny techniką sceniczną i zamożny w pomysły autor poustawiał, rozstaje się ze słowem „do widzenia" na ustach i pobierze się — w to autor przynajmniej wierzyć nam każe.

Gdybyśmy chcieli akt po akcie, scenę po scenie opowiadać, — z recenzyi teatralnej urosłaby dwutomowa powieść.

P. Zaleski podał wzorki małżeństw zawieranych między szlachtą a — będziemy grzeczni — Izraelitami. Czy małżeństwa podobne potępia czy też im przyklaskuje -- odpowiedź niełatwa. Para takich zięciów przedstawia się w świetle bardzo ponurem. Pimbeche i Wielohradzki są to nicponie czystej wody,

próżniacy, marnotrawcy, żądający od teściów-bankierów szczodrej zapłaty za nazwiska, pod które przyjęli swe parweniuszowskie, semickiego rodu żony; z drugiej jednak strony mamy ks. Janusza (Hierowski), który ożenił się z córką księcia finansów i rozumuje, że wlać w wyschłe niedostatkiem arystokratyczne żyły krew plutokratyczną, tylko na pożytek zubożałym rodom wyjść może, że takie małżeństwa obowiązkiem niejako podupadłych rodzin szlacheckich, jeżeli ich reprezentanci wzniosą się tylko po nad drobne przesądy towarzyskie i podejmą walkę z opinią publiczną. Hr. Janusz głosi tedy teoryę miscegenacyi, teoryę małżeństw mięszanych — mięszanych nie z mezaliansu miłośnego, lecz z dobrze zrozumianego interesu obu stron, plutokracyi żydowskiej i arystokracyi rodowej polskiej. Trzecia para Horski i Eleonora są wyznawcami bardziej idealnego kodeksu. Kapitały ojca Eleonory i imię Horskiego w grę tu nie wchodzą. Niema tam mowy o bankierze i szlachcicu. Widzimy jeno mężczyznę i kobietę, którzy się kochają i bez siebie (tak mówią przynajmniej) wyżyć nie mogą.

A para ta ostatnia tak dalece emancypowaną jest z dawniejszych zasad, z żyjącego w społeczeństwie naszem żydowstrętu, że w p. Horskim ani cienia nie masz wahania, ani cienia obawy przed związkiem z żydówką, przed wprowadzeniem kobiety innej i przez społeczeństwo pogardzonej narodowości do ogniska rodzinnego, do sali, gdzie ze ścian portrety przodków jego na nowożeńców kiedyś spoglądać będą.

Mówiąc o tezie propagowanej komedyą p. Zaleskiego, musimy przedewszystkiem ową tezę poddać analizie, — nim przyjdzie zastanowić się nad wartością „Naszych zięciów" — jako utworu dramatycznego.

Horski robi wrażenie człowieka, który w innem przyszłem jakiemś się urodził stuleciu,—w stuleciu, kiedy kwestya żydowska dawno już została pomyślnie załagodzoną, kiedy małżeństwa mięszane nie są już rzadko zjawiającym się wyjątkiem, lecz prawidłem. Trudności, na które się Horski ogląda i które odkładają małżeństwo jego z Eleonorą na czasy późniejsze, to nie walka z przekonaniami polaka, szlachcica, europejczyka wreszcie, tu tylko waha się człowiek rozporządzający kilkunastotysięcznym kapitałem, a lękający się, czy go nie posądzą o interes, jeżli weźmie żonę z krociowym posagiem.

Jeżeli figury p. Zaleskiego przesadzają sztuczne przeszkody skombinowanej faktury scenicznej, to sam autor, p. Zaleski z bohaterską łatwością jak Farys, unosi się po nad górami i pozorami nagromadzonymi przez opinie i zasady rządzące, naszego społeczeństwa.

P. Zaleski maluje ludzi pendzlem fantastycznym, daje nam postacie jakby sprowadzone na ziemię z księżyca, nie mające nic do czynienia z ludzkiemi uprzedzeniami, z ludzkiem niepostępowem zacofaniem, czy jak inaczej nazwiemy nietylko polski — ale wszech-europejski przesąd zawierania małżeństw z rasą azyatycką i semicką.

Nie piszemy tu wcale rozprawy i nie występujemy ani p r o ani c o n t r a; konstatujemy tylko fakt wszystkim znany, dotykalny, który autor milczeniem wykreślił, wyjął z mózgu wszystkich osób swojej komedyi.

Wprawdzie znane są koligacye kilku potomków starych rodów z kilkoma wielkimi żydami, — lecz wypadki te są bądź co bądź unikatami, przedmiotem jeżeli nie zgorszenia to kpin — lub choćby gorączkowej dyskuzyi. Odpowiadają niektórzy, że Warszawa doprowadziła emancypacyę przekonań do ostatecznych granic tolerancyi i postępu i że żyd i nie żyd przestał tam istnieć, a przecież choćby karykatury żydowskie Kostrzewskiego lub humorystyczne pisma warszawskie są obrończami opinij przeciwnych, głoszące krucyatę przeciwko skonglomerowaniu rasy żydowskiej z polską i zaznaczające przekonanie, jakie żywi w tym kierunku większość społeczeństwa.

Wierzę, że bywają chlubne wyjątki, wierzę, że zapach cebuli i czosnku ustąpił w salonach bogatych bankierów woni kolońskiej wódki rozpylonej refreczerką, wierzę, że lichwa i brudne szachrajstwo skryły się pod bogate portyery i marmurowe rzeźby, wierzę, że bogaci żydzi popierają patryotyzm, literaturę i sztukę, mając jakby kwiatek w ustach, dla szyku słowo: „My polacy" wierzę że prenumerują pisma polskie, raczą kolacyą kilku polskich literatów i zdobią swe salony obrazami, które swą wysoką ceną zamożność gospodarza wysławiają.

Ostatecznie i u nas są żydzi — a szczególnie żydówki, które kupiły „Dzieła Mickiewicza" za 1 zł. 60 ct., słyszałem nawet, że jedna dała się złapać i opłaciła swój patryotyzm kwotą 4 zł. 60 ct. u p. Gubrynowicza, ale wszyscy — oni i one — zastawiliby w potrzebie wprzód Mickiewicza a później talmud i walczyliby raczej za modyfikacyą ustawy o lichwie, niż za „naszą kochaną ojczyzną" która się zawsze znajdzie, byle by był tylko pieniądz, za który kupić można nietylko „kochaną ojczyznę" — ale nawet „naszych zięciów".

Dziwna rzecz, iż naszych recenzentów teatralnych nie uderzyła ta negacya wszelakiego żydowstrętu, która wieje swobodnie z „Naszych zięciów" p. Zaleskiego.

Przechodząc do estetycznej wartości „Zięciów", nie wiele możemy o niej powiedzieć. Fabuła za skąpa, aby zapełnić mogła akcyę długich pięciu aktów; to też początek rozwlekły, nużący, ratowany wzorowym językiem i dowcipem wybrednego gatunku. Interes dla sztuki rozwija się dopiero w czwartym akcie, który sam dla siebie jest mistrzowskim prawie, akcya idzie tam żwawo, przeplatana zajmującymi epizodami. Postacie też zresztą — to nasi dawniejsi znajomi, z którymi zapoznał nas sam p. Zaleski w poprzednich swoich utworach. Postacie wszystkie nakreślone blado, żadna z nich prawie na pierwszy plan nie występuje. Eleonora graną była wybornie przez panią Stachowicz, która szczególnie w scenach ostatnich rozwinęła wiele siły dramatycznej Pani Nowakowska nie znalazła pola do popisu. Natomiast panna Pysznikówna miała pole do sprodukowania swej siły naiwnej — a jeżeli się jej to nie udało, to wina nie spoczywa po jej stronie, ale po stronie jej talentu, który jest tak skromny, jak nieskromne są żądania sympatycznej artystki, któraby chciała czerpać z próżnego dzbanka.

Skreślona blado postać Limburga nadawała się do bladego charakteru siły komicznej p. Wojdałowicza, a pewne zamiłowanie w grze przesadzonej, dające się spostrzegać u p. Ruszkowskiego, wyszło na pożytek interpretacyi roli hr. Pimbeche — postaci przez autora po operetkowemu traktowanej. Przyklasnąć należy p. Franklowi, który wysunął powierzonego mu teścia bakiera (Stockfindla na plan pierwszy i grał ze spokojnym, jemu tylko właściwym humorem.

Drugą nowością, która okazała się na naszej scenie jest J a d w i g a, opera w czterech aktach p. Henryka Jareckiego. Publiczność pomnąc na zasługi kompozytora urządziła mu wspaniałą owacyę, darząc niestrudzonego kapelmistrza wieńcami i bukietami. Trzebaby fachowca, aby zdołał ocenić należycie wartość muzykalną Jadwigi — profana porywają liczne motywa narodowe odzywające się w muzyce i libretto opery, zaczerpnięte z historyi naszej, a przedstawiające sympatyczny i popularny portret królowej Jadwigi, której małżeństwo z Jagiełłą złączyło Pogoń litewską z Orłem polskim.

Narodziny „Jadwigi" wypadły w czasie dla opery bardzo niekorzystnym, bo podczas gościnnych występów śpiewaczki Elly Russel, która eksploatuje fundusze publiczności. Jestto spiewaczka rozporządzająca dobrze wyuczonym, mile brzmiącym głosem, lecz głos ten niezapewniłby jej wielkiego powodzenia, gdyby nie łączyła z nim wybornej gry dramatycznej — tyle rzadkiej u śpiewaczek i ujmującej powierzchowności.

„Adrienną Lecouvreur" graną na dochód pani Stachowicz rozpoczął się szereg benefisów.

Adrienna w interpretacyi pni. Stachowicz wyszła poprawnie — a kto nie miał sposobności widzieć Modrzejewskiej ani Sary Bernhardt, ten był zachwycony prawie grą beneficyantki, jakoteż postępem, którego szybki rozwój daje się spostrzegać w działalności scenicznej pani St.chowicz. Artystka ta przed rokiem dopiero w naszych oczach, zerwała z rolami naiwnemi, a posuwawszy się do kreacyi bohaterek, nie znajdzie już dzisiaj tak łatwo zwycięskiej rywalki.

Cóż można natomiast powiedzieć o całości przedstawienia „Adrienny Lecouvreur"? Całość zrobiła wrażenie szopki, aranżowanej przez kolędników na Boże narodzenie. W scenach zbiorowych nadaremnie szukałbyś ręki reżyserskiej — a dystyngowane towarzystwo "dam francuskich" zebrane w salonach księżnej Boulion przypominało "kwiat szlachty francuskiej" z Hugenotów. Na balach aranżowanych w salach ogrodu pojezuickiego, gdzie zwraca się uwagę na dystynkcyę przez wywieszenie tablicy ostrzegającej, iż „bosym wstęp wzbroniony" można widzieć kopie „wykwintnego towarzystwa dam francuskich" sceny lwowskiej; chyba przyjaciel serdeczny dyrektora Dobrzańskiego nie gorszyłby się niedbalstwem, z jakiem dyrektor traktuje wystawę takich dzieł jak „Adrjennę". To oddziaływa na grę artystów, która wydaje się szarą jakąś, niewyraźną — lekceważącą sztukę i publiczność.

Sprawozdanie targowe.

We Lwowie dnia 1. Lutego 1886.

Stała tendencya w ruchu handlowym, którą ze wszystkich giełd Austro-Węgier, Anglii, Francyi i Szwajcaryi telegramy nam podają, oddziaływa dodatnio na ceny pszenicy, pomimo, że usposobienie giełd Berlina, Wrocławia, Frankfurta jest ciągle mdłe i ospałe.

Brak czelnych gatunków pszenicy wywołuje zwyżkę na gotowe ziarno, które po notowanych cenach a nawet i wyższych chętnego znajduje odbiorcę, tak u miejscowych kupców i młynarzy, jak również na export do Czech i po części do Niemiec. Średnie gatunki bywają także uwzględniane mianowicie przez młyny wodne mniejsze, których w naszym kraju dość obfita ilość.

Popyt za czelnem suchem gotowem **żytem** jest dość znaczny. Transakcye liczne przychodzą łatwo do skutku nie tylko na pokrycie wyczerpanych zapasów młynów krajowych, ale także na export a mianowicie do Szlązku pruskiego, gdzie intendentura pruska czycha na nasz towar — nie zważając na sporysz — reflektuje.

Owies obroczny chwilowo mniej pytany, natomiast piękne gatunki są do siewu poszukiwane i płacą wyżej notowań do 2 złr. na 100 kilo.

Jęczmienia w pięknym ziarnie bardzo mało. Potrzeby browarów naszych muszą się zasilać jęczmieniem rumuńskim a w znacznej części węgierskim, który w tym roku bardzo piękny tak co do miękkości gatunku jak i koloru.

Bobiku i wyki bardzo mała podaż. Liczne obstalunki ustawicznie nadpływające z Czech, a mianowicie od tamtejszych cukrowarów, nie bywają ani w części pokrywane. Ztąd też cena choć nie raptownie, jednakowoż ustawicznie podnosi się. Producenci trzymają się w rezerwie w nadziei osiągnięcia lepszych cen na wiosnę.

Usposobienie w **grochu** spokojne, zdaje się bowiem, że potrzeby chwilowo zaspokoje zostały.

Hreczka i kukurudza tylko w miejscowej konsumcyi — po zniżnonych cenach — znajdują odbiorcę.

Transakcye w **chmielu**, przychodziły dość licznie do skutku po cenach ustanowionych, a mianowicie po zł. 5—10 za 56 kilo, pierwsza sorta. Drugą sortę tylko z trudnością można było ulokować w połowie ceny.

Ruch spirytusem wskutek zwyżki na giełdzie wiedeńskiej ożywił się w ostatnim tygodniu i płacono gotowy towar chętnie podług notowanych cen.

Dziś notujemy za 100 Kilogr. loco Lwów.

Pszenica gotowa		6·30	do	7.35
Żyto gotowe		5·15	„	5·50
Owies obroczny		5·65	„	6.—
Jęczmień browarny		5·25	„	7·—
Rzepak usposobienie spokojne		9·25	„	10.25
Groch		5·75	„	9·—
Wyka		4·25	„	5·50
Bobik		5·25	„	6·—
Hreczka		6·25	do	6·75
Kukurudza		3·75	„	4·50
Koniczyna czerwona		38·—	„	47·—
„ biała		40·—	„	65·—
„ szwedzka bez odbiorcy		50·—	„	65·—
Chmiel za 56. Klg.	od	5·—	„	10.—
Spirytus przy lepszem usposobieniu za 10.000 litr. prc.		21·80	do	23·—

N a d e s ł a n e.

Wielmożny Panie Redaktorze!

Czytamy często o wielkości klęski rolniczej w *Kurjerze lwowskim*. Hr. Krukowiecki dał korespondentowi *Kurjera lwowsk.* jakiemuś p. dr. H. J. należytą odprawę w *Strażnicy polskiej* Nr. 8. b. r. w imieniu właścicieli dóbr. Ale *Kurjer lwows.* podał w Nr. 14. b. r. już trzeci artykuł „o o b e c n e m p o ł o ż e n i u d z i e r ż a w c ó w w i e j s k i c h i tymże doradza, ażeby przy wydzierżawianiu majątków trzymali się podstaw katastralnej klasyfikacyi, bo takowa może należycie i rzetelnie dzierżawcom udzielić najdokładniejszych wskazówek.

Dzierżawcy po folwarkach wiejskich, nieznają się na tej wielkomiastowej polityce i niepotrafią żadnej polemiki prowadzić, tylko pamiętają to, że redaktor naczelny pan Rewakowicz był dawniej redaktorem *Dziennika polskiego*, gdzie podawał bardzo wiele artykułów, że ostatnia klasyfikacya katastralna jest z gruntu mylną, bezpodstawną i aby tą klasyfikacyą żaden dzierżawca wiejski się niekierował, bo zostanie w błąd wprowadzony.

Oto teraz prosimy Cię wielmożny redaktorze abyś nam pozwolił, za pośrednictwem twojej *Strażnicy polskiej* zapytać się pana Rewakowicza, kiedy właściwie prawdę podawał, czy w *Dzienniku polskim*, czy w *Kurjerze lwowskim*? Dzierżawcy nie zdobędą się na taką odwagę, jaką hr. Krukowiecki dał korespondentowi *Kurjera lwowsk.*, ale mieszkając na wsi słyszą nieraz między ludem, kiedy jeden drugiego chce podejść, czyli po salonowemu, zmistyfikować, albo jak to tam u was w Lwowie powiadają „wsiąć na kawał", że mu na to odpowiadają: N a s e ł o l u d y d u r y t y.

Dzierżawcy z Rusi.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz.**

Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9

Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego